NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. **Kraków, 6 lutego 1915.** **Nr. 6.**

Brawurowy epizod z walk w Królestwie Polskiem.



Treść numeru: Z oblężonego Przemyśla. — Poświęcenie kościoła polskiego w Choceniu. — Zmiany na naczelnych stanowiskach w Wiedniu. — Obiad w ogniu granatów — Czternastoletni bohater. — Zgon posła na tułaczce — Z kobierca ślubnego na pole ...lki i t. d.

Od Administracyi.

Ponieważ z numerem ubiegłym upłynęło pięć tygodni, o które, z powodu niewydania pięciu numerów w końcu roku ubiegłego, przesunęliśmy termin przedpłaty za kwartał bieżący, przeto wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy o rychłe nadsyłanie takowej na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma.

Prenumeratę **z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16 koron	17·— marek
Półrocznie	8 „	8·50 „
Kwartalnie	4 „	4·25 „

Brawurowy epizod z walk w Królestwie Polskiem.

(Do illustracyi tytułowej).

Współczesna wojna daleko odbiegła od dawnych, bardziej „romantycznych walk“, w których osobista zręczność i męstwo żołnierza miało szerokie pole do popisu. Dziś olbrzymie armie — to skomplikowane machiny, których działanie jest oparte na ściśle matematycznych wyliczeniach. Wojna stała się istotnie sztuką, która zaprzęgła do swych usług wszystkie niemal dziedziny wiedzy ścisłej i wszystkie wynalazki...

Nie znaczy to jednak wcale, aby wartość żołnierza nie odgrywała we współczesnej wojnie ważnej roli. Przeciwnie, przy tak druzgoczącem działaniu współczesnego uzbrojenia, żołnierz musi posiadać nie tylko coraz bardziej skomplikowane wyszkolenie wojskowe, ale i wielki hart ducha, pozwalający mu działać skutecznie, a więc z możliwie największym spokojem, w ogniu potworów żelaznych — w istnem piekle współczesnej walki. Musi także odznaczać się niezwykłą wytrzymałością — bo dziś bitwy toczą się niemal nieprzerwanie już nie dniami, ale tygodniami, a wojska przepędzają całe miesiące pod gołem niebem — w zimnych i wilgotnych rowach strzeleckich. Wyćwiczenie i zahartowanie żołnierza jest też niewątpliwie tak samo koniecznym warunkiem powodzenia każdej armii, jak i należyte uzbrojenie.

Jest to fakt, który obecna wojna potwierdza w całej rozciągłości. Nie ulega jednak wątpliwości, że rola żołnierza jest obecnie inną, niż dawniej... Dziś nie grają tak wielkiej roli porywy osobistego męstwa i własnej inicyatywy. Żołnierz stał się narzędziem — stał się kółkiem w skomplikowanej machinie wojskowej.

Jest to ogólny charakter współczesnej wojny, nie wykluczający bynajmniej poszczególnych epizodów walki, przypominających brawurowe czyny dawnych wojaków. Zwłaszcza przy utarczkach mniejszych oddziałów, przy spotykaniu się nieprzyjacielskich patrolów — żołnierz musi walczyć samodzielnie, a jego osobiste męstwo i zręczność decyduje o zwycięstwie...

Charakterystycznym tego przykładem jest walka, jaka rozegrała się w jednem z miasteczek Królestwa Polskiego. Plutonowy huzarów węgierskich wraz z kilku towarzyszami został tam otoczony przez silniejszy oddział rosyjski. Rosyanie, aby udaremnić huzarom ucieczkę, rozstawili dokoła straże, a wylot ulicy zabarykadowali drabiniastym wozem. Węgrzy zdołali jednak wyrwać się z tej pułapki i jak huragan wypadli na ulicę, a plutonowy, rąbiąc na prawo i na lewo, brawurowym skokiem na koniu przesadził wóz, zamykający ulicę. Moment ten przedstawia właśnie nasza tytułowa illustracya.

Dzielny czyn plutonowego tak zaskoczył żołnierzy rosyjskich, pilnujących wyjścia ulicy, że i to-



Z oblężonego Przemyśla: Krakowianin, porucznik Bolesław Skąpski (╳), komendant oddziału strzegącego jeńców rosyjskich, w gronie kolegów.



Z oblężonego Przemyśla: Jeńcy rosyjscy, internowani na Zamku przemyskim.

warzysze jego również zdołali się przebić i ujść szczęśliwie, zanim żołnierze rosyjscy ochłonęli z przerażenia po tej brawurowej szarży huzarów węgierskich.



Obrazki wojenne: Arcyksiężna Marya Józefa w swoim pałacu wśród rannych oficerów.



Zmiany na naczelnych stanowiskach w Wiedniu: Dr. Juliusz Leo, b. prezes Koła polskiego.

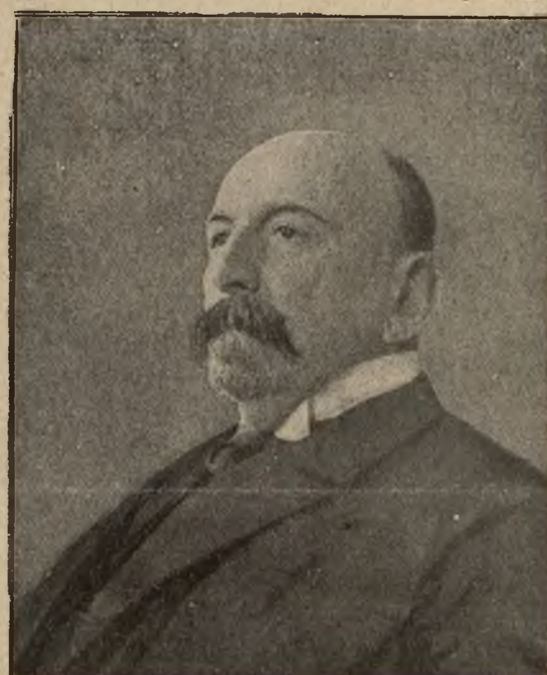
Zmiany na naczelnych stanowiskach w Wiedniu.

W chwili, gdy cała uwaga publiczna skierowoną jest na pole toczącej się walki, nastąpiły też zmiany i na naczelnych stanowiskach politycznych, niewiadomo przecież, czy stojące w jakimkolwiek stosunku z obecnymi wypadkami.

Przedewszystkiem więc niespodzianką dla wszystkich było ustąpienie kierownika naszej polityki zagranicznej, hr. Berchtolda. Stało się to tak nagle, iż nikt nie chciał temu początkowo wierzyć, zwłaszcza, że zdawało się, iż stanowisko jego jest właśnie teraz bardzo silnem. Widocznie było inaczej. Przeszedł w stan spoczynku w pełni przecież uznania dla swej dotychczasowej działalności. Wymownym tego wyrazem było nadanie mu przez Cesarza brylantów do wielkiego krzyża orderu św. Szczepana, odznaczenie więc, jakie rzadko tylko staje się udziałem zwykłych śmiertelników.

Następcą jego został baron Burian, były wspólny minister skarbu, jeden z wybitniejszych węgierskich polityków, antagonista obecnego wspólnego ministra finansów, dra Bilińskiego, który, jako zarządca Bośni i Hercegowiny, położył kres madiaryzacyjnej polityce swego poprzednika.

Wobec tego spodziewaną jest w najbliższym czasie i dymisya dra Bilińskiego, który, kto wie, czy nie obejmie znów kierownictwa Koła Polskiego po



Zmiany na naczelnych stanowiskach w Wiedniu: Dr. Zdzisław Dzierżykraj Morawski, nowy minister dla Galicyi.

drze Leo. Ten, jak wiadomo, zrezygnował także z tej godności, podając jako powód, iż wyjątkowo ciężkie teraźniejsze stosunki polityczne wymagają stałej i nieprzerwanej obecności Prezesa Koła Polskiego we Wiedniu, on zaś, jako prezydent miasta Krakowa, z powodu stanu wojennego nie może się wydalać poza obręb twierdzy.

Także w tym czasie obsadzono definitywnie ministerstwo dla Galicyi. Ministrem rodakiem został dotychczasowy kierownik tego urzędu, radca sekcyjny dr. Zdzisław Dzierżykraj Morawski.

Urodzony w Poznańskiem w r. 1859, po ukończeniu studyów pracował najpierw w prokuratoryi skarbu we Wiedniu, następnie w namiestnictwie dolno-austryackiem i ministerstwie oświaty. W r. 1889 przydzielony do prezydyum Rady ministrów, pełnił potem służbę jako komisarz powiatowy w Galicyi.

W r. 1893 przydzielono go jako wicesekretarza ministeryalnego ówczesnemu ministrowi dla Galicyi, Zaleskiemu i od tego czasu datuje się jego działalność na terenie wiedeńskim.

Od r. 1911 był naczelnikiem biura w ministerstwie dla Galicyi, którego w grudniu 1913 został jako szef sekcyi kierownikiem, a obecnie rzeczywistym ministrem.

Dr. Zdzisław Morawski dotychczasową swą działalnością zyskał sobie ogólne uznanie, cieszyć się więc należy, że sprawy galicyjskie dostały się w tak odpowiednie ręce.



Obrazki wojenne: Transportowanie rannych na terenie Królestwa Polskiego.



Zmiany na naczelnych stanowiskach w Wiedniu: Baron St. Burian, nowy minister spraw zagranicznych.



Obrazki wojenne: Transportowanie rannych Serbów.

Z oblężonego Przemyśla.

Obiecywał swojego czasu jenerał Rennenkampf, że na Święta Bożego Narodzenia będzie pił kawę w Berlinie, zawiódł się przecież, nie przypuszczając nawet, że tak prędko przejdzie w dobrze zasłużony stan spoczynku ze względu na „stan zdrowia“.

W ślady jego poszedł także i Radko Dimitriew i zapewnił cara, że niewiele czasu upłynie, a żołnierz jego znajdzie się wewnątrz przemyskiej twierdzy.

I nie zawiódł się wcale. Są już, ale jako jeńcy.

Jak wiadomo Przemyśl od początku listopada otoczony jest przez przeważające siły rosyjskie, którym stawia skuteczny opór, a wycieczki oblężonej załogi wyrządzają Moskalom bardzo dotkliwe szkody, zabierając prawie codziennie setki jeńców. Zwłaszcza artylerya forteczna daje się oblęgającym bardzo we znaki, mają też wobec niej należyty respekt i tej to właśnie okoliczności należy przypisać, że cofnęli się poza donioslość naszych ciężkich armat.

Oblężonym pozostała jedna jedyna droga, jaką mogą się komunikować z resztą świata, to jest droga powietrzna. Kursują też stale samoloty austryackie tam i napowrót, pracuje też i telegraf bez drutu, którym posługuje się komenda twierdzy i dzięki niemu pozostaje w ścisłym kontakcie z naczelnem kierownictwem armii.

Główny nacisk kładzie się przecież na pocztę samolotową, którą posługują się nie tylko wojskowi, ale w miarę potrzeby i cywilna ludność oblężonego miasta.

Dzięki więc samolotom, właściwie zaś regularnemu funkcyonowaniu samolotowej poczty, otrzymaliśmy już drugą przesyłkę z Przemyśla. Tym razem są to fotografie przedstawiające rosyjskich jeńców, internowanych w twierdzy, na zamku. Należą oni do różnych pułków, europejskich i azyatyckich, dostali się zaś do niewoli w czasie wycieczek, jakie podejmowała zawsze ze skutkiem pomyślnym przemyska załoga.

Komendantem ich jest Krakowianin, pełniący obecnie służbę wojskową w Przemyślu jako porucznik artyleryi, znany w szerokich kołach naszego miasta autoryzowany geometra, p. Bolesław Skąpski.

Jeńcy zadowoleni są najzupełniej ze swego stanu i nie okazują najmniejszej ochoty powrotu w szeregi.

Największym nieprzyjacielem samolotów, czyhającym na nie na każdym kroku, są różnych systemów armaty, używane do ich niszczenia. Jedną taką, zdobytą przez nasze wojsko na Moskalach podczas wycieczki, przedstawia nasza illustracya. Dziś używa się jej, ale przeciw rosyjskim statkom powietrznym, które tylko bardzo niechętnie zapuszczają się ponad miasto, wiedząc, że czeka je tutaj zbyt „gorące“ przyjęcie.



Obrazki wojenne: Francuski jenerał Pau, który przybył do głównej kwatery rosyjskiej w charakterze doradcy.



Z oblężonego Przemyśla: Jeńcy rosyjscy na przechadzce.

JÓZEF LASOŃ.

Ostatni list.

(Ze wspomnień Legionisty).

III.

Druga kompania 2-go batalionu, jako straż przednia wyznaczona, wysunęła się na czoło kolumny, rozstawiła flanki i szpice.

Noc ciemna, mglista, droga pełna wybojów, dołów utrudniała marsz żołnierzy. Jeszcze przy zwyczajnym marszu jako tako po takich drogach się szło, ale przy marszu ubezpieczonym stawało się to męką dla żołnierza. Co kilkadziesiąt kroków stać, potem posuwać się żółwim, powolnym krokiem i wtedy dopiero, kiedy łączniki dadzą znać, że droga wolna, dalej maszerować. A tu potykać się co chwila, to w w kałużę błota, to znów w dziurę wpaść — to rozpacz człowieka ogarnia. Do tego, ani słowa rzec nie można, cicho, bacznie iść, ani zaśpiewać, ani papierosa zapalić nie wolno. Czasem tylko półgłosem zaklnie który, gdy potknie się, lub gdy mu nogę maszerujący w drugim szeregu potrąci. Cała myśl skupiona jest tylko na głos komendy, ręka przy karabinie, gotowym do strzału, nerwowo przyłożona. A tu język świerzbi, chętka do gadania wielka, aby się trochę rozerwać, rozweselić, wyrwać z tego nastroju. Bo największą przyczyną przygnębienia, to właśnie przejmowanie się wszystkiem, co się stało, co się dzieje, co się stać może... Ot, lepiej zapomnieć o wszystkiem, a tylko śmiechem zagłuszyć.

Maszerować kiedy każą, stać, strzelać... człowiek staje się powoli mechanizmem, bez serca, czucia, takim karabinem maszynowym, który, naładowany, wali... sieje śmierć i zniszczenie... bo kierują nim i puszczają w ruch.

Takie to czasem uczucia przychodziły, myśli się takie snuły... i wiele jeszcze innych... ale o nich... kiedyś w przyszłości!....

Deszcz wali, wicher dmie w oczy wielkie krople, siecze po twarzy, spływa po policzkach. Już szósta godzina marszu, żołnierz już zmęczony, przemoczony, a niewiadomo, kiedy i gdzie na kwaterę się przyjdzie i jaką. Przemoczona odzież przylepia się do ciała, dreszcze przebiegają ciało, a tu jeszcze w dodatku nieproszone goście... za koszulą wynajęty kwaterę... w tyralierkę rozłożone... atakować poczynają. Ogarnia znużenie, wyczerpanie.

Wreszcie padła komenda z ust batalionowego:

— Batalion.... stój!

Zapowiedziano półgodzinny odpoczynek, nakazano spokój i milczenie.

Po obu stronach drogi, w rowach przydrożnych, rozłożyli się żołnierze. Karabiny w dłoni, gotowe do strzału. Na rozmokłej ziemi usiedli, by choć na chwilę wyprostować nogi, wyciągnąć je przez kilka minut. Bo dla piechura — to nogi grunt. Nogi zdrowe u żołnierzy — to marsz idzie raźno, ochoczo, kolumna się nie huśta w marszu, nie łamie, nie kołysze. A niech tylko w kompani kilkunastu „nożnie" chorych się znajdzie, to cała kompania już kiwać się, kołysać poczyna. I męczy się przez to żołnierz prędko, zdrowy poczyna kuleć... zmieniając co chwilę krok.

Częstokroć jednak złe obuwie przyczynia się w dalekiej mierze do tego. Ciasne, albo zaduże buty obcierają nogi i żołnierz kuleje.

Dobre, silne, wygodne buty — były marzeniem każdego z nas, a o takie trudno było. Niejeden w podartych łapciach szedł, palce mu przez dziury wyglądały. woda się ciurkiem wlewała do środka. Niejeden bosą nogą po kamieniach stąpał... choć tam niby z wierzchu nogi cholewkę miał jeszcze... kawałek skóry z buta... tylko podeszwę gdzieś zgubił.

Wicher wyje po polach, w melodyę jakąś szatańską wpada, to znów jęczy, śmieje się, płacze. Wszystko możnaby w wichrze takim wyczuć... I rozpacz potratowanej ziemi matki i płacz wieśniaka nad rozwaloną granatem chałupą i jęki dzieci nad rozszarpaną szrapnelem matką... I tysięczne skargi... i milionowe jęki... w wichrze tym wyczuć by można.

Obsiedli przydrożne rowy żołnierze polscy, jedni snują myśli o dniach przeżytych i o dniach przyszłych, dniach walki — drudzy bezmyślnie siedzą, spoczywają.

Ho! Ho!... jakie to myśli snują się w głowach tych młodych żołnierzy! Niejeden wspomniał o domu rodzinnym, niejeden westchnął głęboko.

Półgłosem poczęto rozmawiać.

Wieść radosna poczęła się przedzierać pomiędzy tym szeptem, który pośród żołnierzy szedł. Jedni twierdzili ze stanowczością, drudzy przypuszczenia tylko snuli.

— Na Warszawę idziemy!... Na Warszawę! — coraz głośniej poczęło się radosne echo przedzierać.

— Nareszcie po tylu tygodniach tułaczki idziemy na Warszawę — szeptali.

A wszak ta Warszawa to sercem dla każdego Polaka, a chwila wejścia polskiego żołnierza do Warszawy, tak gorąco upragniona.

Zaczęto się sprzeczać.

— Ja zaś mówię! — uporczywie twierdził Liszka, podoficer z 2-giej kompani — że na Galicyę pomaszerujemy.

— Ale, o! Popatrz bracie na mapę, to się dowiesz — przerwał mu któryś z żołnierzy.

— Tak! tak! Popatrz na mapę!

— Nie wolno świecić.

— Głupstwo! W rowie siądziemy, ja mam ślepą latarkę! — odezwał się Kulczyk — Chodźcie tu, zobaczymy.

Usiedli w rowie, na kamieniu rozłożyli mapę, płaszcz nad nimi rozciągnięty dwóch trzymało, Kulczyk zaś z kilkoma żołnierzami wpatrywał się w mapę.

— Żołnierz nigdy dokładnie nie wie, gdzie idzie. — mruczał pod nosem podoficer Liszka. — Od tego batalionowy, pułkownik, aby prowadzić, a żołnierz ma tylko słuchać. Ale ciekawość u nas nigdy nie zaspokojona. Zawsze chcemy wiedzieć, dokąd idziemy... gdzie mamy iść...

— A widzicie! — odezwały się przyciszone głosy z rowu. Kulczyk miał słuszność. Maszerujemy w kierunku północno-wschodnim, a więc na Warszawę.

— Albo na Iwangród! — dorzucił któryś.

— Albo na Będzin!

— Albo i albo... do cholery — wtrącił rozgniewany Stach, sanitet z 3 ciej kompanii. — Albo i albo! Do cholery... Głowy sobie łamiecie naprózno. Gdzie prowadzą, tam idziemy. A niech tam i do dyabła idziemy, to wszystko jedno. Na Moskala idziemy. To naszem pragnieniem było i na niego też idziemy. Martwić się byle czem, albo tem, gdzie idziemy. Tak, jak te baby ustawicznie stękacie: „A gdzie idziemy? a dokąd nas prowadzą!?" Bodajby was... pokręciło.

— Cicho, łapiduchu! Nie pytluj ozorem — odezwał się Liszka. — Duchy idź łapać, nie z nami się użerać...

— Zaczekaj... zaczekaj... — rozśmiał się Stach — Złapę ja ducha, a uważaj, żebym twojego nie złapał. Gorącą łaźnię sprawię mu, aż piszczeć będzie.

— Nie złapiesz go, łapiduchu. Dobrzem się zaasekurował.

— Ja go tam już wymacam!

— Uważaj, żeby on cię nie pomacał. Byłoby z tobą krucho, łapi... łapi... duchu....

Chichot stłumiony wtórował sprzeczce ich.

Łapiduchami nazywaliśmy wszystkich sanitetów, którzy się o to niezmiernie złościli.

Liszka jednakże odczepił manierkę z wódką, podniósł do ust, napił się do Stacha na przeprosiny. Bo gniewy i przeprosiny były nieraz co chwila. To jeden drugiemu nogę w marszu przydrepcił, to jakąś łatkę mu przyczepił — już gniewy — a za kilka minut — przeprosiny, naturalnie w towarzystwie manierki z wódką, lub arakiem.

Kulczyk rozciągnął płaszcz na ziemi, położył się, przywołał Liszkę. Byli to dwaj nierozłączeni koledzy. Pomimo, że nieustannie się ze sobą żarli, jeden bez drugiego obejść się nie mógł. Obaj byli z Nowego Sącza, i w jednym plutonie służyli. Kulczyk był sekcyjnym pierwszej sekcyi, Liszka był podoficerem za frontem.

Lubiłem ich bardzo. Byli to serdeczni chłopcy, a przytem łobuzy nielada. Żżyłem się z nimi, jak z braćmi i żałowałem szczerze, że losy nas rozdzieliły.

Pokrzepili się trochę rozpuszczonym z wodą arakiem, Liszka wyciągnął papierosa i ukradkiem zapalił, ukrywając ogień w czapce.

— Br... br... przeklęty czas! — otrząsł się z zimna Kulczyk i westchnął.

— Jeszcze jaki... — odparł Liszka.

— Masz jeszcze co w manierce?

— Niestety. Pusta już. Wyschła, jak Morze Czerwone, kiedy lud Izraela przez nie przechodził i ani kropli w niej nie znajdziesz.

— Szkoda!

— Ale, wiesz co?

— No!

— Mam cukier.

— To dawaj!

Rozpakował Liszka tornister, wyciągnął garść cukru. Chrupiąc cukier, poczęli szeptem rozmawiać, o domu, o ojcach, o tem, co teraz w chacie robią. Może w pieleszach śpią i o nich śnią. I cieszy się ich poczciwe ojcowskie serce, że takich synów mają, którzy na bój straszny poszli, by Moskali tłuc i rznąć.

Od przemokłej ziemi wilgoć szła, wżerała się w ciało, w kości.

— Którego dziś mamy? — spytał po chwili Kulczyk, przewracając się na bok i trzęsąc od przejmującego zimna.

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Zdaje mi się, że dwudziestego pierwszego, albo drugiego.

— Z pewnością?

— Nie wiem, czy z pewnością, przypuszczam. A o cóż ci idzie?

— Chciałem list do rodziców napisać.

— To i tak cenzura datę ci skreśli.

— Może się uda, że nie skreśli. Rodzice będą przynajmniej wiedzieć, kiedym pisał. Na kwaterze napiszę.

— O ile będzie jaka kwatera. Br... br... br... zimno.

Tak dni nam upływały, że rzadko który z nas wiedział, którego jest dziś, jaki dzień tygodnia. Od czasu do czasu, któryś wycyrklował: „A dziś niedziela, tego, albo tego, albo poniedziałek, tego dnia, tego miesiąca.

Z rozmowy wyrwał ich głos plutonowego, wzywający Kulczyka.

— Rozkaz! — szybko wymówił Kulczyk, zrywając się z ziemi i stając jak struna przed plutonowym.

— Weźmiecie pięciu ludzi! O dwa kilometry idąc, prosto drogą idąc, zajdziecie do wsi X. Trzeba wieś przeszukać, przejrzeć dobrze, czy Moskali tam nie ma, następnie kwatery dla batalionu wyszukać. Ludzi sobie wybierzcie, albo, który tam może na ochotnika.

Zerwało się kilkunastu.

— Ja pójdę! — wołają jeden, za nim drugi, trzeci.

— Obywatelu plutonowy — rozśmiał się Kulczyk. — To trochę za dużo ochotników.

— Ja z Kulczykiem idę! — woła tam któryś z tyłu. — Ten dobrze zna rekwirunek i z nim, kto idzie, to pojedzony wraca.

Z Kulczykiem lubili żołnierze na patrole chodzić, gdyż on zawsze dobrego węcha miał. Wiedział, gdzie pukać, aby dobrze trafić. I pojeść sobie z nim można było i popić czasami. Ale przytem służbista był wielki — rozkazy ściśle i skrupulatnie zawsze wypełniał, a że czasami, w chwilach wolnych, kiedy nie groziło niebezpieczeństwo, lubił wleźć w chałupę i o prowianty się postarać, nie miał mu tego nikt za złe. To też tak plutonowi jak kompanijny cenili bardzo Kulczyka i nie jedną ciężką i poważną „robotę" mu wyznaczali, wiedząc, że się z niej sumiennie i dokładnie wywiąże. Nic też dziwnego, że gdy posłyszeli, że Kulczyk idzie i pięciu żołnierzy ma iść z nim, cisnęli się do niego wszyscy, chcąc przy tej okazyi pokrzepić się we wsi.

Uśmiechnął się Kulczyk, rozglądnął wokoło, patrząc, kogoby z szeregu wybrać, któremu mógłby w zupełności zaufać.

— Mnie! Mnie! — poczęli się dopominać.

— Darmozjadów nie chcę! — z uśmiechem mówił Kulczyk do plutonowego — bo tylko żryć patrzą, zamiast służbę pełnić skrupulatnie.

Wreszcie wybrał pięciu, odebrał od plutonowego szczegółową instrukcyę i odmaszerował w kierunku wsi.

Wicher zalewał oczy kroplami deszczu, dreszcze przechodziły po kościach od przemoknięcia, a tu w dodatku buty dziurawe i co chwila... chlap... chlap... we wodę.

Ostrożnie poczęli posuwać się ku wsi. Zdala zarysowały się jej kontury, chaty i drzewa wyglądały zdaleka jak pasemko gór drobnych.

Przystanęli o parę kroków przed wsią. Kulczyk ręką wskazał na pierwszą chałupę. Cicho, jak koty, podsunęli się żołnierze pod chałupę, przy drzwiach stając.

Kulczyk zapukał we drzwi. Nikt się nie odezwał, nie odpowiedział. Popatrzył uważnie na drzwi. Były zamknięte od wewnątrz, widocznie ktoś w środku musi być. Kolbą karabinu uderzył silnie w zamknięte drzwi. Ktoś się wewnątrz poruszył raptownie.

— Otworzyć tam! — przyciszonym głosem zawołał.

Po chwili światło zabłysło w oknach chaty, za-

suwkę z wewnątrz odsunięto. Kulczyk z dwoma żołnierzami do izby wszedł.

— Hej gospodarzu? — zapytał. — Było tu jakie wojsko?! Co!?...

Chłop podniósł ociężale oczy, popatrzył na żołnierzy. Na twarzy jego przebijała się apatya, zrezygnowanie, przygnębienie. Patrzył na Kulczyka jakoś tak dziwnie, że aż ten go zapytał:

— Cóż się tak gapicie na mnie! Gadajcie-no: było tu jakie wojsko?

— Ano było!

— A jakie? — badawczo pytał Kulczyk.

— Ano nasze!

— Jakie wasze?

— No kozoki!... — odparł chłop, patrząc na Kulczyka.

— To kozaki są waszem wojskiem — gniewnie przemówił Kulczyk.

— A no pod Moskolem jesteśmy, to i jego wojsko naszem się nazywo — flegmatycznie odpowiedział chłop.

— A wielu ich było? He!?

— A może ze dwie sotnie. Zostawili paru przy karczmie i pojechali gdzieś.

— A gdzie?

— W górę wsi. Ale nie wiem, gdzie?

— Dawno?

— A będzie już z pięć godzin!

— A ci przy karczmie zostali? — pytał dalej Kulczyk.

— Nie wiem!

Chwilę patrzył uważnie na Kulczyka, wkońcu zapytał:

— A panowieście jakie wojsko?

— Nie widzicie, jakie my wojsko. Polskie my wojsko.

— Polskie? — zapytał zdziwiony. — Ja myślałem, że Prusaki.

— Jakto, nie słyszeliście nic o polskiem wojsku, o strzelcach. Nic wam tu we wsi nie mówili. Nie wiecie, że polski żołnierz jest i walczy z Moskalem.

— Ta niby mówili nam urzędniki, że jakiesik sokoliki przyjdą i będą nas mordować, a dobytek rabować. Kazali takich chwytać i do wojska naszego odstawiać, albo żandarmom, i obiecali, że nam będą za to płacić.

— Tak wam mówili?

— A tak.

W krótkich słowach objaśnił go Kulczyk o polskiem wojsku. Wkońcu polecił nie spać jeszcze, gdyż tu na kwaterę przyjdą żołnierze i pomaszerował do wsi.

Ostrożnie posuwając się pomiędzy budynkami, do środka wsi dotarli. Wieś spała. Z okien niektórych domów gdzieniegdzie światełko przed obrazem zabłysło. Pies przebudzony szmerem od czasu do czasu warknął, zaszczekał na przechodzących żołnierzy.

Wreszcie ukazała się przy drodze karczma. W oknach światło błyskało — ze środka gwar i hałas dochodził. Widocznie bawiono się tam wesoło. Kulczyk przystanął z żołnierzami i plan działania ułożył. Przedewszystkiem trzeba zbadać, kto w karczmie jest, wielu właściwie jest tam kozaków, a potem tak ich otoczyć, aby ich do niewoli bez wystrzału wziąć, gdyż w pobliżu może być większa siła nieprzyjacielska, któraby strzałami mogła być zaalarmowana. A tak, jeśli się ich cicho sprzątnie, będzie się można łatwo od nich dowiedzieć, jakie siły nieprzyjacielskie są i gdzie.

Zaraz za karczmą stały zabudowania gospodarcze. Stodoła przytykała do karczmy — wokoło zaś ogród owocowy. Dwom żołnierzom rozkazał Kulczyk za stodołę iść, na rogach zaś karczmy ustawił po jednym, a najsprytniejszego, Kranca, pod okno posłał, aby zbadał, wielu jest kozaków w izbie. Wszystko szło w jak najlepszym porządku. Nieszczęście jednak chciało, że pies łańcuchowy, leżący w budce przy stodole, zerwał się i począł głośno ujadać.

Podbiegł Kulczyk do niego, bagnet utopił w jego cielsku, przywiercił go do ziemi. Tymczasem kozacy ostrzeżeni szczekaniem i wyciem zdychającego psa, z karczmy wybiegli.

Zwęszyli niebezpieczeństwo — piorunem na konie wskoczyli. Kranc, widząc co się dzieje, wypalił z karabinu, za nim wystrzelili inni. Kozacy odpowiedzieli kilkakrotnie strzałami, ale bez najmniejszej szkody. Jedna tylko z kul zabłąkanych uderzyła w okno karczmy, do izby wpadła i zraniła szynkującą dziewczynę w rękę. Posłali jeszcze kilka strzałów za nimi, ale bezskutecznych. Umknęli w panicznym przestrachu.

Kulczyk był zrozpaczony.

— Tak głupio się skończyło — przemówił gniewnie. — Żeby choć jednego rannego dostać, toby inaczej było. Możnaby coś dowiedzieć się od niego. Teraz mogą zaalarmować swoich i może być z nami krucho.

Naradzili się, co dalej robić.

— Bałwan ze mnie — przemówił po chwili Kulczyk. — Trzeba było konie im sprzątnąć, a potem do nich się zabrać.

— Wszystkiemu winien pies — zauważył Kranc.— Gdyby nie jego szczekanie i konie bylibyśmy mieli, i kilku kozaków.

Wstąpili do karczmy. Tu zebrali dokładne informacye o tej patroli, która tam ucztowała. Po rozglądnięciu się po wsi i wyszukaniu kwater dla batalionu, powrócili do kompanii zdać raport z wywiadu.

Kompanijny przedłożył raport Kulczyka batalionowemu i po chwili odmaszerowały kompanie na kwaterę.

W marszu przystąpił Liszka do Kulczyka i zapytał:

— Masz jaką dla mnie porządną kwaterę?

— A jakże. Wyśmienitą do tego. Pod pierzyną będziemy spać. Karczma przytem blisko, coś zeżryć i napić się dostanie.

— To dobrze.

Kilku innych przyłączyło się z prośbami o dobrą kwaterę, ale Kulczyk tylko sześciu wybrał i tym przyobiecał postarać się o dobrą kwaterę.

Wesoło przymaszerowali żołnierze do wsi, ciesząc się, że noc spokojnie i wygodnie przepędzą, pokrzepią siły do dalszej drogi, a może coś do przepłukania gardła znajdzie się — mówili.

* * *

Kulczyk przyprowadził nas na kwaterę do chaty tej, do której poprzednio wstąpił. Było nas wszystkich sześciu. Chłop lampę zapalił, słomy zniósł ze stodoły, pościelił na ziemi. I mimo znużenia sen odbiegł nas zupełnie. Koło kominka, na którym rozpalono ogień, oparło się kilku, ogrzewając zmarznięte ciało. Ogień na kominku błyskał jasnemi iskrami, rozświetlając izbę.

— Hej gospodarzu! — przemówił po chwili Florek. — Nie macie też coś zjeść. Może masło jest, chleb?

Chłop poskrobał się po głowie, a po chwili ze skrzyni wydobył garnek masła i chleb razowy. Na ogień postawiliśmy garnek z wodą, aby zagotować wodę na herbatę.

Przebudzona gospodyni wystawiła głowę z pod pierzyny, patrząc na nas zdziwionym zwrokiem. Chłop coraz ufniej spoglądać począł na nas, chętka rozmowy świeciła mu w oczach. Usiadł na krawędzi łóżka, oddychając ciężko.

— No i cóż gospodarzu — spytał go Kulczyk — Jakże tam wasze gospodarstwo?

— Gospodarstwo, panie! Ciężkie czasy nadeszły. Kara Boża, czy co. Com miał bydła i koni zabrało mi wojsko, ziemniaki i zboże. Nie wiem, co pocznę z wiosną. Człek się cały rok narobił i tak wszystko poszło na marne. Przyjdzie chyba z głodu umrzeć na przednowku.

— Ale przecież wam zapłacili? — spytał go jeden z obywateli.

— Zapłacili, zapłacili! — westchnął głęboko. — Brali co chcieli, płacili co chcieli. A nie wszyscy płacili. Ot większą część dobytku to oddałem za takie jakieś kwitki, a Bóg wie kiedy i gdzie się po pieniądze zgłosić.

Wyciągnął z za obrazu kilka świstków papieru i podał Kulczykowi. Były to kartki rekwizycyjne.

— Może mi powiecie panowie, odczytacie, gdzie się po pieniądze zgłosić, bo ja nie umiem czytać.

Spojrzał Kulczyk na kartkę jedną i drugą.

Gospodarz po chwili spytał, gdzie ma się udać po pieniądze. Objaśniliśmy go, a następnie zmęczeni towarzysze poukładali się do spania, pozostał tylko Kulczyk, który o dwunastej miał iść zaciągnąć placówki. Usiadł przy stoliku, z portfelu wyciągnął kopertę i papier i począł pisać.

— Do kogo piszesz? — spytałem.

— Do rodziców! Spodziewam się, że poczta nasza nadciągnie w tych dniach, to oddam list. A może jaka kartka dla mnie jest. Ciekawym bardzo, co tam w Nowym Sączu słychać.

Rozciągnąłem się na słomie, rozkoszując się ciepłem, jakie się w izbie od napalonego kominka rozchodziło, senność poczęła mnie coraz bardziej ogarniać. Ciszę panującą w chacie przerywały oddechy śpiących i ciągnienie pióra po papierze.

Kulczyk tymczasem pisał list do rodziny, o zdrowiu swojem i powodzeniu, że ma nadzieję powrócić cało z wojny, aby się o niego zbytecznie nie martwili — prosił.

I pozdrawiał ich po tysiączne razy, tęsknotę za nimi opisywał, i upominał, aby choć cośkolwiek opisali mu, co słychać w domu, czy zdrowi — bo on zdrów — i Moskali bije.

* * *

Ciemno jeszcze było, gdy zerwałem się z posłania, zbudzony hałasem w izbie. Przetarłem oczy nerwowo, chwytając pospiesznie za mundur, wdziewając go gorączkowo, przekonany będąc, że to alarm nocny.

— Cóż to? Cóż to? — spytałem.

— Ale spijcie, spijcie — odezwały się głosy leżących obok mnie. — To Kulczyk przyszedł z placówki i coś tam upolował.

Zaświeciłem świecę, przylepiłem ją na ławce. Kulczyk do izby wszedł uśmiechnięty. Mundur miał cały powalany gliną, twarz i ręce czarne od błota. Pod pachą trzymał parę butów z cholewami, które natychmiast na podłogę rzucił.

— Skądżeś wziął buty — zapytałem, przyglądając im się. Były obłocone całe, a miejscami plamy czerwone znać było. Wziąłem je w ręce przypatrując się bacznie. Wyglądały, jakby krwią zlane.

— Cóż to, ranny jesteś, że tu krew na tych butach?

— E... nie.

— Przecież tu krew widać?

— Tak, ale nie moją.

— A buty skąd wziąłeś? — po raz drugi go spytałem.

— Upolowałem!

Flegmatycznie zdjął stare swoje buty, a raczej strzępy skóry i rzucił do kąta, mówiąc:

— Teraz na pensyę niech idą. Wysłużyły się dość. Patrz, nowiutkie buty zafasowałem.

Szmatą mokrą oczyścił pokrwawione buty, nogi owinął w świeżą onuckę i wciągnął buty na nogi.

— Trochę duże, ale to głupstwo. Silne są za to, podkute, wystarczą na całą wojnę.

Przeszedł się parę razy po izbie, przyglądając się nowym butom. Gospodarz przebudzony podniósł głowę z poduszki, rozglądnął się po izbie.

— Skądżeś je wziął? — znowu spytałem zadumanego Kulczyka.

— Mówiłem przecież, żem upolował — flegmatycznie odparł, kładąc się na posłanie i zapalając papierosa.

— Gdzie?

— Zaraz opowiem!

— Wyciągnął się wygodnie na słomie, pociągnął kilka dymów z papieru. Przysunęliśmy się bliżej ku niemu, on zaś począł opowiadać:

— O dwunastej, jak wiecie, objąłem służbę i posedłem zmienić placówki. Dobra godzina minęła, zanim załatwiłem się z ostatnią placówką, a potem idę z ludźmi powoli, nadsłuchując bacznie, czy coś podejrzanego w pobliżu nie zauważę.

Nagle posłyszeliśmy, iż na drodze od strony Kielc tętent jakiś daje się słyszeć, niewyraźny z początku, ale z każdą chwilą coraz głośniejszy.

Padliśmy tedy na ziemię. Żołnierze ukryli się za pagórkiem, ja zaś pozostałem w szosie. Przykucnąłem do ziemi, karabin skierowałem w stronę gościńca. Wytężam wzrok, ale niestety nic widzieć nie można było, gdyż gęsta mgła zasłaniała widnokrąg, a do tego noc dzisiejsza ciemna taka i ponura. Ale słyszę najwyraźniej, że tętent zbliża się w stronę naszą, ktoś galopem pędzi w moją stronę.

— Głupstwo — pomyślałem sobie — jakaś sztyfa pewnie. Z raportem pewnie jedzie.

Już coraz bardziej zbliża się. Widzę dobrze sylwetkę jeźdźca, ale nie mogę rozpoznać, czy to nasz, czy nieprzyjaciel. Kiedy podjechał na odległość kilkunastu kroków, krzyknąłem zrywając się z ziemi, mierząc do niego z karabinu:

— Stój! Kto tam?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poświęcenie kościoła polskiego w Choceniu.

W miesiącu styczniu podaliśmy Czytelnikom cały szereg illustracyi, odnoszących się do życia naszych wychodźców, którzy, zmuszeni do tego okolicznościami, opuścili ojczyste strony i tułają się na obczyźnie, głównie w Czechach i Krainie.

Zaznaczyliśmy wówczas, iż Komitet, opiekujący się ich losem, dołożył wszelkich starań, by, o ile to tylko leży w jego mocy, osłodzić ich gorzką dolę, i postarał się także o zaspokojenie potrzeb duchowych. W tym celu zakłada się w różnych miejscowościach szkoły z językiem wykładowym polskim i urządza nabożeństwa z kazaniami w ojczystej mowie.

W Choceniu, w Czechach, gdzie zebrały się tysiące galicyjskich wychodźców, wybudowano nawet osobny polski kościół dzięki wydatnej pomocy materyalnej Rządu.

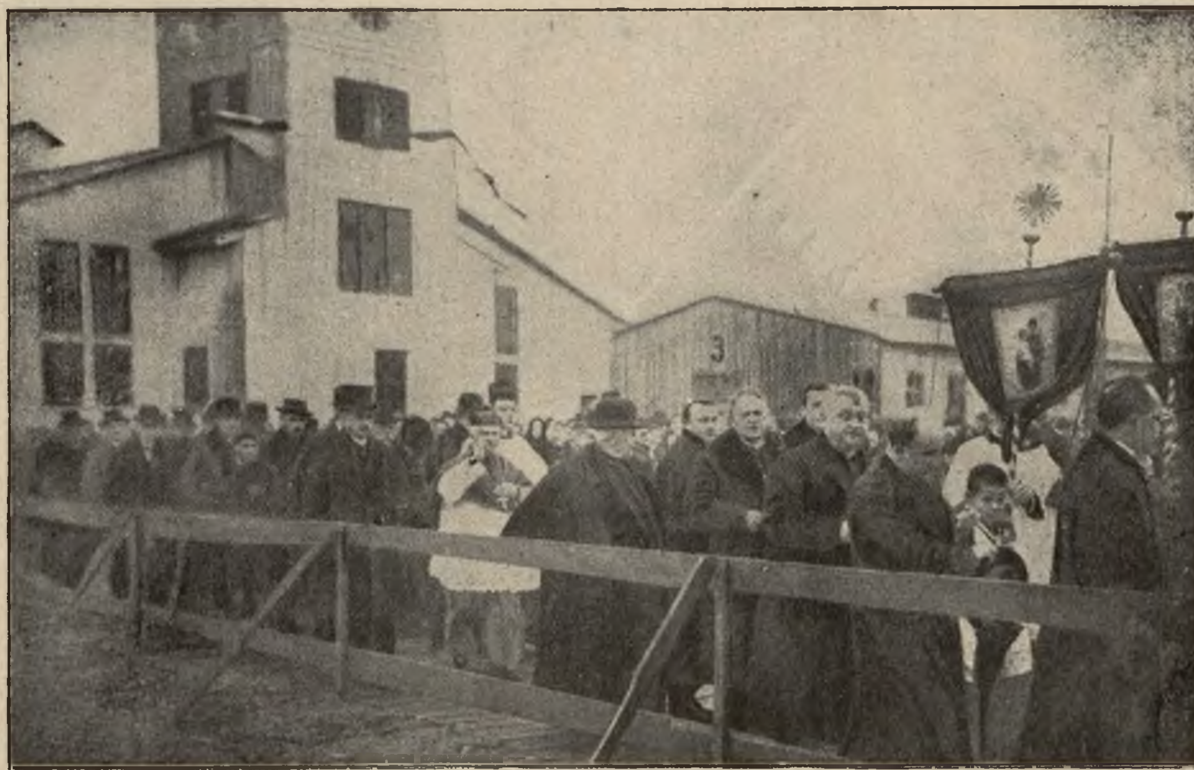
Dzień 17. stycznia był dla tej osady polskiej bardzo uroczystym, odbyło się bowiem poświęcenie kościoła, a aktu tego dopełnił biskup hradecki, ksiądz dr. J. Doubrawa.

Dostojnika kościoła witało duchowieństwo polskie z delegatem biskupa krakowskiego księdzem dr. Kramarczykiem na czele, miejscowe duchowieństwo czeskie pod przewodnictwem księdza dziekana Kuczery, i dr. Rubin, radca namiestnictwa pragskiego, personal urzędniczy baraków z p. nadkomisarzem Wallesem na czele, wreszcie przedstawiciele władz gminnych i grono osób prywatnych. Na przemówienia powitalne odpowiadał serdecznie ksiądz biskup, wyrażając współczucie dla tysięcy wygnańców polskich, którzy, utraciwszy wszystko u siebie, szukają schronienia w innych krajach koronnych.

Ksiądz biskup zapewniał wygnańców o swej życzliwości i życzliwości Czechów dla wygnańców polskich. Po dokonaniu aktu poświęcenia kościoła i po kazaniu, wypowiedzianem przez księdza dra Kramarczyka, celebrował ksiądz biskup w poświęconym kościele uroczystą mszę św., podczas której chór czeski śpiewał pieśni łacińskie, chór polski śliczne nasze kolędy. Po mszy św. przemówił od ołtarza ksiądz biskup Doubrawa. Mówił od serca, jak ojciec do dzieci. „Prosiłem we mszy św. Boga, by zmiłował się nad narodem polskim, by wygnańców powrócił do Ojczyzny. Poleciłem wasz naród Najśw. Matce Częstochowskiej, Królowej Korony polskiej“.

Po skończeniu przemówienia popłynęła z chóru pieśń „Boże coś Polskę“. Tysiące wygnańców wojennych wybuchło płaczem i nawet sam biskup zapłakał. Odczuł niedolę tych biednych, zrozumiał nieszczęście, jakie w obecnej wojnie spadło na nasz naród. I gdy ręka błogosławiąca klęczące tłumy podniosła się, wtedy czuło się, że naród czeski w osobie Dostojnego Biskupa współczuje z nami, że poczucie braterstwa dwóch narodów nie jest ułudą, ale rzeczywistością.

Po mszy św. zwiedził ksiądz dr. Doubrawa szkołę polską, witany przez kierownika jej, p. Molisaka, oraz przez jedną z uczenic. Ksiądz biskup, rozrzew-



Poświęcenie kościoła polskiego w Choceniu: Procesya prowadząca ks. biskupa dr. Doubrawę do kościoła.



Poświęcenie kościoła polskiego w Choceniu: Ks. biskup dr. Doubrawa dopełnia aktu poświęcenia.



Czternastoletni bohater: Plutonowy Otto Kshanek.



Obrazki wojenne: Odpoczynek na pozycyi.



Czternastoletni bohater: Plutonowy Otto Kahanek i jego towarzysz, również czternastoletni ochotnik Maksymilian Pramer, na podwórzu szpitala fortecznego nr. 8 w Krakowie. Po za nimi stoją: komendant szpitala, lekarz pułk. dr. Lang (w środku), dr. Wilczyński (na lewo) i nadpor. Grzywiński (na prawo).

niony widokiem setek dzieci wygnańców, zapewniał o swej życzliwości dla szkoły, rozmawiał z dziećmi i obdarzył je pamiątkami.

Podczas skromnego przyjęcia przemawiał ksiądz biskup, zapewniając raz jeszcze o radosnem uczuciu, jakie odczuł z pobytu wśród wygnańców.

Delegat księdza biskupa krakowskiego dziękował księdzu biskupowi Doubrawie za przybycie, za gorące słowa zachęty do wytrwania i wyraził przekonanie, że czas, przeżyty na wygnaniu, zacieśni węzły, łączące Polaków z Czechami.

Następnie zwiedził ksiądz biskup kilka baraków, witany wszędzie przez wygnańców z niekłamaną radością.

Taki przebieg miała uroczystość, która dla wygnańców pomieszczonych w Choceniu pozostanie na zawsze w pamięci.

Czternastoletni bohater.

Obecna wojna wydobywa na jaw podniosłe przykłady miłości ojczyzny i gotowości do poświęceń. Oto jeden z wielu faktów. Czternastoletni uczeń gimnazyalny z Berna morawskiego, Otto Kahanek, syn powiatowego sierżanta żandarmeryi, porzucił już w sierpniu ławę szkolną i jako wyćwiczony skaut morawski zgłosił się pod chorągiew.

Przydzielono go do kolumny amunicyjnej ciężkiej bateryi haubic, która operowała na terenie serbskim. Podczas jednego z licznych wywiadów, do których był używany, dostał się do niewoli serbskiej, skąd po kilkudniowym pobycie zdołał uciec, a z niewoli przywiózł tak ważne wieści, że atak, na podstawie jego wiadomości o nieprzyjacielu wykonany, przysporzył naszej armii dwa tysiące jeńców. W nagrodę otrzymał szarżę kaprala. Wskutek rany postrzałowej opuścił nasz bohater teren serbski i udał się do rodzinnego miasta, Morawskiej Ostrawy, celem kuracyi. Po powrocie do zdrowia wysłany został na północny plac boju, gdzie wielokrotnie używany do roznoszenia rozkazów i do celów wywiadowczych, dał liczne dowody męstwa i przytomności umysłu, za co otrzymał stopień plutonowego. Obecnie z powodu choroby przebywa w spitalu l. 8 w Krakowie.

Zgon posła na tułaczce.

W Karwinie na Śląsku zmarł w tych dniach jeden z wybitniejszych przedstawicieli galicyjskiej socyalnej demokracyi ś. p. Józef Hudec, poseł do Rady państwa z miasta Lwowa.

Urodzony w Krakowie w r. 1863. pracował zrazu jako towarzysz sztuki drukarskiej, żywo zajmował się organizacyą zawodową drukarską i był jednym z jej założycieli. Przed kilkunastu laty objął obowiązki w lwowskiej Kasie chorych, której osta-



Poświęcenie kościoła polskiego w Choceniu: Tłumy przed nowym kościołem.



Opieka nad rannymi w Krakowie: Lekarze i oficerowie szpitala nr. 6 (w Seminaryum duchownem). (X) Komendant dr. Włodzimierz Hanakowski.

tnio był dyrektorem. Jako członek polskiej partyi socyalistycznej kandydował w r. 1901 do parlamentu, posłem został wybrany jednak dopiero po zaprowadzeniu powszechnego prawa głosowania w roku 1907. a ponownie w roku 1912. Przez jeden okres zasiadał w Radzie miasta Lwowa.

Ostatnio po wybuchu wojny i utworzeniu się Naczelnego Komitetu Narodowego ś. p Hudec został jego członkiem, popierając gorąco ideę Legionów. Chroniąc się przed inwazyą rosyjską, opuścił Lwów i umarł na tułaczce w Karwinie. Osierocił żonę i czworo dzieci, z których dwóch synów walczy w Legionach.

Z zachodniego terenu walki.

Gwałtowne walki, jakie się toczą na zachodnim terenie, nie zajmują tak dalece naszej uwagi, która cała skierowaną jest na teren wschodni, jako bardziej nas obchodzący.

Warto przecież zapoznać się bliżej z niemi, przekonają nas bowiem, z jakiemi trudnościami muszą się tam borykać tak nasi sprzymierzeńcy, jak i część naszej armii, operująca wraz z nimi i jak chlubnie wywiązują się ze swego zadania.

Pora roku i trudności terenowe nie pozwalają na rozwinięcie ofenzywy w całem słowa tego znaczeniu, co zresztą jest trudnem już choćby tylko ze względu na rozciągłość frontu bojowego, wynoszącego kilkaset kilometrów. Jak dziś rzeczy stoją, operacye wojenne tamże ograniczyć się muszą tylko do walk pozycyjnych. Krok za krokiem posuwają się sprzymierzeni, zdobywając piędź ziemi po piędzi. Rowy strzeleckie, a poza nimi bateryе, utworzyły po obu stronach pasy trudne do przebycia. Znawcy powiadają, że stanowiska niemieckie są nie do zdobycia, wykluczoną jest też wobec tego ofenzywa ze strony francuskiej, niemiecka zaś postępuje ciągle, dzięki poparciu ciężkiej artyleryi, jakiej Francuzi nie posiadają. „Grube Berty“ i austryackie bateryе motorowe zrobiły już swoje.

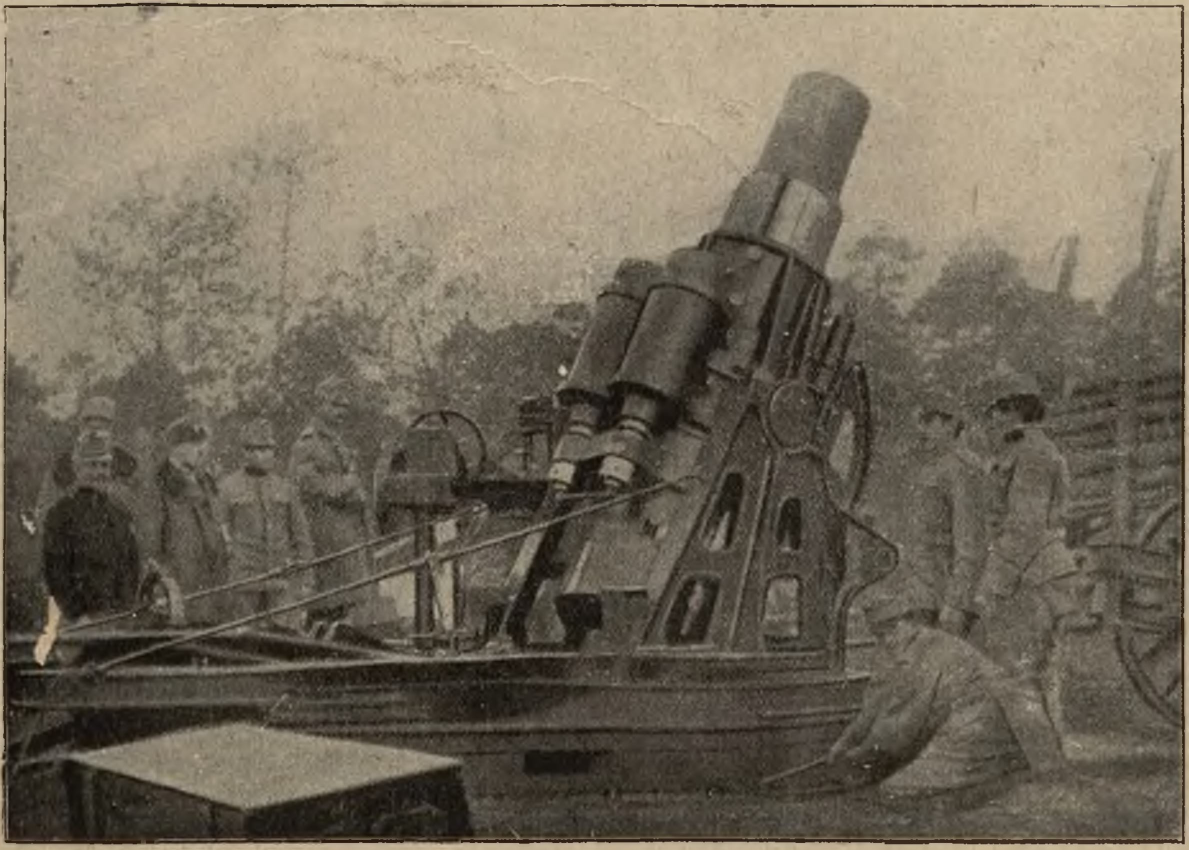
„Powoli, ale stale naprzód“, to myśl przewodnia Niemców, „cofanie się w porządku“ to znowu dewiza Francuzów, rzadko kiedy jednak mogąca być w czyn wprowadzoną.



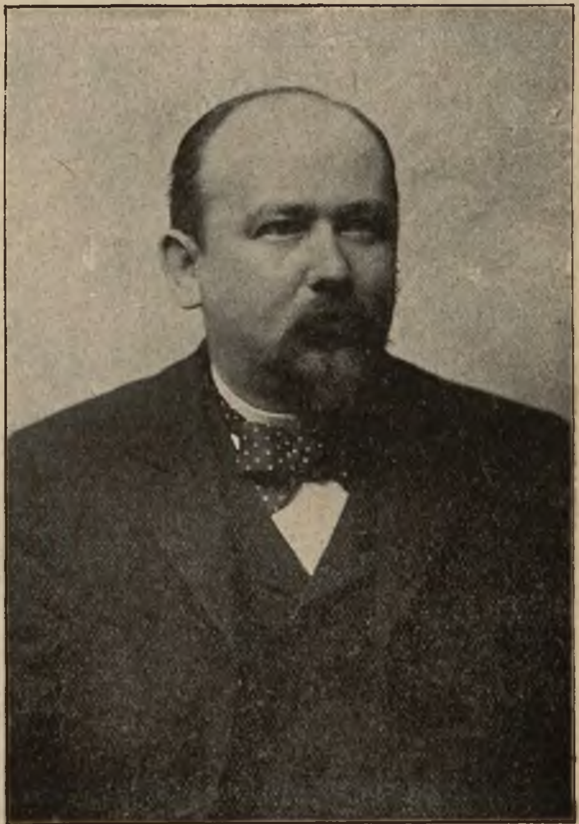
Z zachodniego terenu walki: Most na zatopionym przez Francuzów terenie nad Yserą, zbudowany przez niemieckich pionierów w przeciągu pięciu dni.



Obrazki wojenne: Nabijanie 30½ centimetrowego moździerza austryackiego



Obrazki wojenne: Austryacki moździerz 30½ centimetrowy na pozycyi w Królestwie Polskiem.



Zgon posła na tułaczce. S. p. Józef Hudec, poseł do Rady państwa z miasta Lwowa.

Na ogół, jest się przyjacielem Niemców, czy nie, stwierdzić się musi, że rozporządzają oni daleko lepszym materyałem wojennym, niż zjednoczeni wrogowie ich. Żołnierz niemiecki jest wytrzymalszy i daleko lepiej zaopatrzony we wszystko niż francuski, dowódcy niemieccy z konsekwencyą przeprowadzają swe plany z góry już ułożone i muszą ostatecznie doprowadzić do pomyślnego dla nich rezultatu. Tego zaś o kierownictwie armii francuskiej powiedzieć nie można i stąd to pochodzą także narzekania angielskie na ich niedołęstwo.

Francuzów zresztą zmęczyła już wojna, Niemcy zaś nie ostygli w zapale i uważają za swój punkt honoru, by ostateczne zwycięstwo przypadło im w udziale.



Obrazki wojenne: Tren niemiecki w Socha zewie.

Jak ciężko pracują wojska niemieckie na francuskim terenie, przekonać się mogą Czytelnicy z zamieszczonych w niniejszym numerze illustracyi.

Jeden z nich przedstawia rów strzelecki, wykopany przez niemieckie wojsko tuż naprzeciw pozycyi francuskich. Celem ochrony od pocisków nieprzyjacielskich i możliwego ataku na bagnety z boku, urządzono sztuczny las. Wprowadza to w błąd nieprzyjaciela, który próżno szuka go na swych mapach sztabu jeneralnego.

Jeszcze więcej kłopotu mieli Niemcy, zanim się uporali z trudnościami, na jakie napotykali nad rzekami francuskiemi. Aby utrudnić postępowanie naprzód wrogów Francuzi spowodowali sztuczne wylewy. W tym celu posługiwali się śluzami, dzięki którym zatopiono nadbrzeżne okolice na przestrzeni setek kilometrów. Ale i z tem Niemcy uporali się jakoś.



Z kobierca ślubnego na pole walki: Znany artysta-śpiewak, Krakowianin, p. Tadeusz Bukowski, rezerwowy kadet 13 p. p.

Na drugiej illustracyi widzimy most, długości kilku kilometrów, sporządzony i oddany do użytku w przeciągu pięciu dni przez niemieckich pionierów. Prowadzi on przez zalane wodą terytoryum nad Yserą i umożliwia wygodną komunikacyę z jednego brzegu na drugi.

Z kobierca ślubnego ne pole walki.

Inter arma silent Musae... dawne to przysłowie, znane już starożytnym [illegible] ale sprawdzające się i za naszych cz[illegible]

Z chwilą wybuchu wojny zamiera zazwyczaj całe życie na terenie nią objętym, muszą też i Muzy ustąpić Marsowi, który w tym wypadku nie zna żadnych względów, nawet dla płci nadobnej... Na odgłos surmy wojennej spieszą wszyscy do szeregów, by bronić kraju od najazdu wroga i złożyć ten podatek krwi, do którego bez względu na zajęcie i pozycyę społeczną jesteśmy wszyscy obowiązani.

Jednym z nich jest znany i ceniony w kołach muzykalnych miasta Krakowa śpiewak-baryton, Tadeusz Bukowski, dziecię podwawelskiego grodu, syn ś. p. Władysława Bukowskiego, b. inżyniera naszej Gazowni miejskiej.

Dawszy się poznać w rodzinnem mieście, jako wytworny śpiewak, po uzupełnieniu studyów występował z powodzeniem w operze polskiej w Poznaniu, następnie zaś w kroackiej w Osieku, poczem zaangażowany został do Serajewa, spotykając się wszędzie z nader pochlebną krytyką tak ze strony prasy miejscowej, jak i publiczności.

Obecnie służy jako kadet rezerwowy przy 13 p. p. (krakowskie dzieci) i jako taki wyruszył w pole w dniu 21 stycznia b. r., w kilka zaledwie godzin po połączeniu się związkiem małżeńskiem z p. Heleną Palczewską, artystką operetki w teatrze poznańskim, znaną i w Krakowie z występów w teatrze „Nowości" w roku 1912.

Obrzęd ślubny odbył się w Nowym Jiczynie.



Obrazki wojenne: Jeńcy rosyjscy wraz z próżnymi koszami z granatów, które odnosili na dworzec kolejowy.



Z zachodniego terenu walki: Niemiecki rów strzelniczy. W głębi utworzony sztucznie las, służący jako ochrona.

Stanisław Sławiecki

Księżniczka

Idylla.

2

— Ho! ho! — śmiał się na całe gardło, pokazując przytem dwa szeregi zdrowych zębów — wysypia się pan, wysypia... a tu słońce panu do samych oczu się śmieje, śniadanie czeka i panny się w ogrodzie niecierpliwią...

Adam się z lekka zarumienił.

Proszę, czemże zasłużyłem na tyle względów?

A no, mój panie, bez pańskiej ten tego obrazy, czy to dziewczętom dużo trzeba? Słyszał może pan gadkę o pensyonarkach, co się to ten tego kochały w kapeluszu księdza katechety... ha... ha... ha...

A pan... z Krakowa... młody... ukończony filozof... nagadałem im, że z pana poeta... no i już... czegóż trzeba więcej?

— Ach! pan naprawdę dla mnie zbyt łaskawy, boję się, abym nie zawiódł pańskich nadziei — odrzekł onieśmielony Adam.

— No, no! jakoś to będzie! Co zaś do pańskiego ucznia — ciągnął dalej pan Rafał — to dzisiaj będzie pan miał jeszcze spokój, bo księstwo przyjadą z Krakowa prawdopodobnie dopiero jutro.

— A książę mówił mi, że od dziś zacznę lekcye...

— Tak, tak, mieli przyjechać przedwczoraj, tymczasem córka zasłabła, pewnie ją główka zabolała, no i ten tego, powrót się odwlókł.

— Córka zasłabła? — powtórzył prawie szeptem Adam.

W tej chwili w myśli stanęła mu urocza jej postać, tej dziewczyny z twarzą anioła, niby cudny twór Grenze'a. Jej oczy niebieskie, szeroko rozwarte, te usta karminowe o namiętnym rysunku, a te włosy złotawe w cudnych się loczkach wijące dokoła wypieszczonej twarzy.

Lecz pan Rafał nie dał mu czasu do tych rozmyślań i wziąwszy pod rękę, poprowadził do ogrodu.

Za lewem skrzydłem pałacu, o jakie dwieście metrów od niego stał dość duży dom, na kształt szlacheckiego dworku. Przed domem przy zastawionym stole, nakrytym białą serwetą, siedziało całe towarzystwo. Oczy wszystkich zwrócone były teraz w stronę nadchodzących. Śmiechy i rozmowy umilkły; przy stole zapanowała kłopotliwa cisza. Przerwał ją pan Rafał, prezentując Adama:

— Pan Adam Drzemirski, filozof z Krakowa.

Starsza pani, widocznie żona pana Klimowicza, skinęła mu uprzejmie głową i podała rękę do ucałowania, panny lekko się zarumieniwszy, spuściły oczy i dygnęły w panieńskim ukłonie.

Adam wpadł w łobuzerski humor. Pannom uścisnął łapki, obu z silnem przejęciem, mamie i cioci panien w jednej osobie, prawił komplementa — jednem słowem był eleganckim, rozmownym, dowcipnym. Tyle zalet ześrodkować w sobie odrazu nigdy mu się jeszcze nie zdarzyło. Zrobił też bardzo korzystne wrażenie. Mama rozpytywała się go o Kraków, dowiadywała się o każdą ulicę, niemal, że o każdy dom z osobna. Tu bowiem spędziła wiosnę swego życia, panieńskie lata. Tu poznała swego męża i tu prześniła z nim te pierwsze, niezapomniane dni wyznań i miłosnych uniesień. A gdy to wszystko już opowiedziała i pytania się wyczerpały, przyszła kolej na panny, które tymczasem oswoiły się już z nowoprzybyłym.

— Jakiemu działowi filozofii pan się poświęca — zapytała widocznie śmielsza panna Zofia — słyszałyśmy od tatusia, że literaturze polskiej?

— Tak, proszę pani... oprócz tego naturalnie...

— A pan podobno i wiersze pisze — dodała nieśmiało młodsza z panien, silna brunetka o ciemnych marzycielskich oczach, Ewunia.

— Ee... co to za wiersze, proszę pani... czasem coś się napisze...

— Bo ja, to strasznie lubię wiersze...

— I ja też — dorzuciła Zofia.

— Musi nam pan co przeczytać, czy dobrze — prosiła Ewunia koniecznie.

— Ale z całą przyjemnością, przy pierwszej zaraz sposobności.

Adam zaproponował spacer po parku. Panny chętnie się zgodziły; szli wolno aleją utworzoną wśród drzew najrozmaitszych gatunków. Aleja wiła się i rozdzielała na węższe aleje i ścieżki, tworząc mnóstwo zacisznych kącików.

— Mieć taki park, to prawdziwe szczęście, coś prawdziwie pięknego — zachwycał się Adam.

— W takim parku to dopiero można napisać wierszy! — rzekła na to z przejęciem panna Zofia — prawda, panie?

— Naturalnie, i jakich jeszcze! — śmiał się Adam, a dziewczyna się zapłoniła i rzekła:

— Niech się pan nie dziwi, że ja czasem coś niedorzecznego powiem, ale to nie moja wina, ale brak wyższego wykształcenia. Uczyłam się wprawdzie, skończyłam pensyę, ale co z tego wszystkiego. Prosiłam tatki, chciałam się uczyć dalej, wszystko na nic. Tatko powiedział, że celem kobiety jest co innego, jest wyjść za mąż... i... i... być matką... wie pan... tak, tak... a ja chciałam się uczyć — skarżyła się, łzy mając w oczach — a mężczyźni skąd mają to prawo, co? Niech pan powie! A potem jeszcze się nie uczą, tak, jak mój brat Witold, już cztery lata próżnuje.

— Żal mi pani rzekł cicho Adam, zamyśliwszy się na chwilę. Tak zamyślony szedł dalej, nic nie mówiąc i nie zauważył nawet, z jakim wyrazem patrzyły na niego poczciwe oczy tych dwóch świeżych dziewcząt.

III.

Mogła być szósta wieczorem. Słońce już zaczynało się kryć za wierzchołkami drzew ogrodowych, złocąc ich listki jakimś fosforycznym blaskiem. Adam wyszedł na spacer. Szedł bez celu przed siebie. Z ogrodu wyszedł na pola i zbliżał się ku rzece. Tu las dochodził do samej wody, która łagodnie pieściła korzenie drzew.

W pewnej chwili usłyszał za sobą piosenkę, głosem niewieścim nuconą. Stanął i czekał. Z za małego wzniesienia ukazała się szybko idąca młoda dziewczyna i nie przestawała śpiewać. Adam odniósł wrażenie, że zna skądś ten miły, figlarnie brzmiący głos niewieści.

Nim się jednakże namyślił, ona już była przy nim i chwyciła go za obie ręce.

— Idzie pan marzyć! Co? niech się pan przyzna — wołała wesoło Ewunia, śmiejąc się, a jej srebrny śmiech rozlegał się dokoła, dźwięczne między konarami drzew wywołując echo.

— No niech się pan przyzna, przepadło, niema się co zapierać! Złapałam pana na gorącym uczynku.

— Ależ nigdy — bronił się zaaferowany Adam.

— Wierzę, że się panu trudno przyznać, ale to nic, ja tego nie wymagam. Nie powiem nawet nikomu, tylko jeden warunek.

— Proszę bardzo, niech pani rozkazuje!

— Nie, to nawet nie warunek, ale prośba...

— Prośba pani będzie dla mnie rozkazem...

— Kiedy się wstydzę... śmiała się, a rumieniec pąsowy okrył jej rumiane liczka.

— No proszę — zaczynał naprawdę prosić, nie wypuszczając jej rąk z swych dłoni, zaintrygowany Adam.

— Ja... chciałabym pójść z panem marzyć! — rzekła naiwnie i okryła swe ciemne oczy wachlarzami długich rzęs.

— Ha, ha, ha, — zaczął się Adam śmiać serdecznie — no dobrze, proszę pani, ale jak to sobie pani wyobraża to nasze marzenie... co?

Dziewczyna zawstydziła się i zadąsana wyrwała swe ręce z jego dłoni.

— Myślałam, że pan się nie będzie śmiał ze mnie, tak jak z Zosi... a pan taki nie dobry!

Nie pojechałam nawet po Toldzia, skłamałam, że mię boli głowa, nudziłam się, czekając dwie godziny aż pan przyjdzie... a za to pan się ze mnie śmieje.

— Nigdy, nigdy, proszę pani, gdzież śmiałbym, ależ jakże, pani mnie nie zrozumiała, tylko doprawdy ja nie znam reguł na „marzenie", nie jestem marzycielem i nie umiem wytwarzać tego nastroju...

Ale ona nie słuchała go, a w jej oczach dwie kryształowe łezki utkwiły i czekały chwili, aby módz ukradkiem spaść na biały staniczek i innym miejsce uczynić.

Adama zaczęło to młode dziewczę bawić i interesować. Biedactwo! — pomyślał i postanowił za wszelką cenę ją przebłagać, choćby mu przyszło przymusowo marzyć.

Przysunął się do niej bliżej i mówił:

— Pani mnie przecież zrozumie.

— Nie! Nie chcę, nic nie rozumiem, bo ja jestem dla pana za głupia, ja pana... nie... nienawidzę — i wybuchnęła płaczem zakrywając oczy fartuszkiem.

Zaczęła uciekać.

Dogonił ją i ujął przemocą wyrywającą się rączkę i zaczął okrywać pocałunkami.

— Biedactwo moje — szeptał czule — no pocóż to wszystko? poco? Ja nie jestem taki zły i zarozumiały, jak się pani wydaje, no proszę mi darować, bardzo proszę.

— Niech pani wytrze oczka, bo i ja zacznę płakać!

No proszę, niech mi pani spojrzy w oczy, tak szczerze, po przyjacielsku, tak jakby między nami nic nie zaszło...

— Nie, nie chcę — broniła się coraz słabiej, aż wreszcie opuściła fartuszek, odkrywając zaróżowioną twarzyczkę. Spojrzeli sobie w oczy tak długo... przeciągle i... wszystkie lody stopniały.

Ujął jej rączkę i tym razem nie wzbraniającą się... całował długo. Wolno szli dalej zboczem, coraz ku strumieniowi opadającem.

Nad strumieniem tu i ówdzie, z dawnych jeszcze lat widocznie, leżały mniejsze i większe głazy porosłe mchem. Do jednego z głazów podeszli. Ona usiadła na kamieniu, a on u jej stóp na trawie.

Dłuższą chwilę siedzieli tak cicho, wsłuchani w szmer płynącego strumienia. Ona pierwsza przerwała milczenie.

— Niech mi pan powie, jak to jest z tem... tem natchnieniem. Bo pan przecież pisze wiersze, to pan musi wiedzieć, musi mieć pan takie chwile, w których pan zaczyna o swym tworze myśleć, w których pan przestaje żyć naszem życiem, a żyje w świecie innym... tym lepszym, szlachetniejszym...

Bo ja takbym chciała pisać wiersze... wie pan, tylko proszę niech pan nikomu nie mówi... bo ja to nawet próbowałam pisać. Nieraz siedziałam nad kartką papieru długo, próbowałam różnych tematów, ale wszystko na nic się zdało.

Raz pamiętam, posłyszałam, że noc daje największej natchnienia, że taka cicha letnia noc przecudne baśnie do ucha szepcze, serce przepaja dziwną tęsknotą...

Podobno wszyscy poeci w nocy tylko piszą...

Wieczorem jak zawsze położyłam się spać, ale nie usnęłam. Gdy dom już cały w ciszy spoczął, zapaliłam świecę i zaczęłam czekać.

Wie pan, czekam i czekam... wokół niczem niezmącona cisza, tylko od czasu do czasu psy nadszczekują.

Już kilkakrotnie ogarnęło mię jakieś rozmarzenie, jakieś obrazy przesuwały się w mej wyobraźni, zdawało mi się, że w duszy mi się jakaś pieśń rodzi, pieśń śliczna, potężna...

Czułam na całem ciele dreszcze... ale to wszystko minęło i nie napisałam... nic... kilka niedorzecznych zdań.

Siedziałam jeszcze chwilę zrozpaczona i nagle przyszła mi do głowy świetna myśl.

Wstałam z krzesła i cichuteńko na palcach zakradłam się do kancelaryi tatusia. Wiedziałam, że w szafie ma cały zbiór fajek i zapas tytoniu. Wybrałam sobie najdłuższą faję, nabrałam do papieru tytoniu i wróciłam do mego pokoiku.

Zasiadłam z powrotem w fotelu, nałożyłam do fajki tytoniu i zapaliłam. Pociągnęłam raz i wciągnęłam ogromną masę dymu do płuc. Miałam w tej chwili wrażenie, że mię ktoś ciężkiem kołem uderzył po głowie, w oczach mi pociemniało, uczułam wypieki na twarzy.

Początek! — pomyślałam — trzeba się spieszyć, bo świt już przez szczeliny okiennic się zakradał.

Pociągnęłam raz drugi, trzeci... nałożyłam drugi raz tytoniu...

A potem nie wiem, co się ze mną działo. Zbudziłam się w łóżku, mamusia przy mnie siedziała i zmieniała mi zimne okłady na głowę. Tak się skończył mój pierwszy krok... literacki — wyrzekła śmiejąc się już wesoło.

Popatrzyła na Adama, on siedział zamyślony, a twarz mu się cała pokryła zmarszczkami.

— A panu co się stało? — zapytała zdziwiona jego gwałtowną zmianą.

— Zamyśliłem się...

— I pewnie pan wcale nie słyszał mego opowiadania.

— Ale owszem... tylko w tej chwili przyszło mi na myśl...

— Wolno wiedzieć co...

— Owszem, proszę pani. Przyszło mi na myśl, że my Polacy, wszyscy bez wyjątku, jesteśmy marzycielami, poetami... we wszystkich dziedzinach życia jesteśmy poetami. Nie wiem, czy zna pani zdanie Bismarka, który powiedział o nas, że jesteśmy poetami w polityce, a politykami w poezyi. Co do mnie to odważyłbym się twierdzić, że poezya dodaje mi sił, zapału do pracy... nie akademickiej, dyletanckiej, ale prawdziwie realnej. Wydawaćby się to mogło śmiesznem, a tak jest naprawdę. Poezya nadaje człowiekowi szerszy pogląd na sprawy świata, nadaje życiu idealniejszy kierunek. A kiedy myślę o tej idealnej przyszłości, nie zatracam pojęcia... realizmu życiowego. Owszem idę w życie uzbrojony w tę siłę, jaką daje poezya ideałów. Tak, tak — powie niejeden poważny człowiek — młody jeszcze

ideały mu, poezya w głowie... spoważnieje, nabierze doświadczenia, życie go dużo nauczy, a wtedy zobaczymy.

I tak bez końca...

Tymczasem faktem jest, że w ciągu szeregu lat zmieniło się życie, ale me wytyczne się nie zmieniły.

Z dumań moich, marzeń i snów błękitnych w mym zacisznym pokoiku wstawałem trzeźwy, trzeźwiejszy może nawet, niż poprzednio i szedłem za miasto, na wieś, do mego ulubionego domu ludowego i tam zasiadałem do kilkogodzinnej nieraz pracy. Urządziłem w tej wsi sam jeden czytelnię, kółko teatralne... a w tym roku właśnie zorganizowałem sklep, oparty na współdzielczości.

Sklep polski, wie pani... polski sklep u nas... w polskiej wsi... sklep własnością chłopa, który go już z rąk nie wypuści... tu siła, tu przyszłość. Sklep się znakomicie rozwija, ludzie się cieszą jak dzieci...

Czy nie pracujemy realnie, trzeźwo?

A przed mym wyjazdem kupiłem za ostatni grosz kilka egzemplarzy poezyj Mickiewicza, Kurasia... i... wie pani co... na złość „realistom“ zaniosłem na wieś... niech się uczą poezyi!

A teraz powie mi znowu ktoś „starszy“ — lepiejby pan się uczył. Wszak u nas to zdanie tak popularne... niech każdy pilnuje swego! To jest pokrywka, pod którą się ukrywa nasze lenistwo, a my to nazywamy rozumem! W studyach mych nie zaniedbałem się zupełnie, owszem w tym roku będę człowiekiem skończonym, a przecież zrobiłem coś... i to już jest dla mnie satysfakcyą za wszelki trud.

A gdyby nas było tak więcej tych... poetów... możebyśmy się prędzej doczekali tego... świtu, na który naprawdę tylko czekamy, zamiast wyjść naprzeciw.

Zamyślił się chwilę, ona też zamyślona milczała. Po przerwie mówił dalej:

— Mam tylko kłopot z moimi chłopkami... nie mogę ich odzwyczaić od wódki, tej naszej plagi, ale po powrocie pomyślę i o tem, a nasz Leibe ze swoim sprytem kupieckim i całym zasobem podstępnych zabiegów o rozpajanie polskiego chłopa... wywędruje ze wsi.

Gdybyż nas było więcej... gdyby każdy chciał podjąć odrobinę trudu, żeby zaczął od siebie...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— Ale pan musi się przemęczać — wyrwało się jej pytanie, gdy popatrzyła na jego zbladłą twarz.

— Wie pani, nigdy się nie skarżę, ale czasem rzeczywiście czuję brak sił... za mało nas jest i dlatego jeden u nas musi pracować za dziesięciu, za stu.

Rozmawiając nie zauważyli nawet, że zakradał się mrok i czas było wracać. Wstali i milcząc szli obok siebie.

Za chwilę żegnając się z Adamem, zapytała go Ewunia prosząco:

— Czy ja będę mogła jeszcze kiedy z panem pomówić?

— Owszem, owszem! Gdy tylko chwila się zdarzy znowu odpowiednia.

Podała mu milcząc rękę, a przy tem spojrzała mu w głębię oczu, tak jakby w nich chciała dla siebie wyczytać wielką tajemnicę.

On zdawał się tego nie zauważyć i pochyliwszy głowę wracał do swego mieszkania.

Ewunia stała jeszcze chwilę nieruchoma, a gdy Adam zniknął za drzewami, pobiegła szybko kilka kroków, jakby go chciała dogonić, potem zatrzymała się i wpatrzona w miejsce, w którem zniknął, szeptała: kocham, kocham, kocham.

Adam dostawszy się do swego pokoju, wyszukał stary brulion, w którym od kilku lat notował wrażenia, a do którego od kilku miesięcy nic nie wpisał. Dziś uczuł potrzebę wypowiedzenia przed kimś tego nawału uczuć, które mu serce wypełniły, tego niewypowiedzianego smutku. jaki go w tej chwili ogarnął. Przed kim się miał zwierzać? Przed kim? Skoro był sam na świecie! Ta biała karta była jego spowiednikiem, jej powierzał swe myśli, swe największe tajemnice.

Zapalił papierosa, ujął pióro i jął pisać słowami wrażenie chwili, głos duszy na ludzki tłómacząc język. I płynęła z pod pióra dziwnie smutna pieśń znękanej samotnej duszy...

„Są chwile smutku w mego życia drodze, jakiegoś żalu, szalonej tęsknoty, za szczęścia chwilą dawno już przepadłą, za lat dziecinnych naiwności złudą.

Gdy w taką chwilę spojrzę poza siebie, w przybladły obraz minionej już drogi, to jakaś skrucha w mej duszy powstaje, jakiś żal straszny mem sercem porusza, na strunach wspomnień pieśń przecudną grając...

...pieśń, co ma siłę przepotężną, co z prochów obrazy tworzy, ze wspomnień szczęścia buduje pałace...

Pieśń lat dziecinnych...

I płyną chwile lekko i cicho, bez szmeru mijają lata, szczęście ze sobą unosząc...

I płynie cicho fala za falą, a szczęście na niem, jak okręt z papieru, to raz na górze, to znów gdzieś tonie...

I coraz szybciej życia fale płyną, coraz gwałtowniej się tłoczą i pienią... a okręt tonie...

Utonął.

I żal serdeczny mem sercem porusza, tłumię wzruszenia, łkania, a łzy się toczą bezbarwne i gorzkie, jak tego życia smutne chwile...

A w duszy mojej jakiś głos mi szepce: jam winowajca.

Jam winowajca, bom dary żywota zatracił zdradnie na tej krótkiej drodze, bom szczęścia pączek, nim rozkwitł, zadusił... a teraz płaczę...

I płyną cicho chwile smutku, niosąc mi gorycz i żale, wspomnienia, ale w nich przytem tyle jest radości, szczęścia, pociechy i ukojenia...“

IV.

W parę dni później Adam rozpoczął z młodym Zygmuntem Zbylitowskim lekcye. Chłopiec był sympatyczny, bardzo intelligentny, a do swego nauczyciela odnosił się z wielkiem zaufaniem, jak do starego przyjaciela. Wkrótce bardzo go polubił i nie mówił o nim inaczej, jak kochany pan Adaś. Codziennie rano zaraz po śniadaniu siadali do nauki, a lekcye przeciągały się nieraz do dwóch godzin. Tyle przeznaczono na naukę przedmiotów, potrzebnych Zygmuntowi do egzaminu szkolnego, poza tem jednak Adam z całem poświęceniem pracował nad młodym o wybitnej intelligencyi chłopcem. Wyjaśniał mu dużo kwestyi, które dlań dotąd były niezrozumiałemi, opowiadał mu ciekawe rzeczy z tajemnic przyrody, głównie jednakże kładł nacisk na historyę Polski. Z całym zapałem wsłuchiwał się młody chłopiec w opowiadania swego nauczyciela. Z zapartym tchem słuchał o krwawych walkach nieszczęsnego narodu, z którym go przeszłość rodzinna tak silnie wiązała, o tych tytanicznych wysiłkach dla odzyskania straconej niepodległości.

I dzisiaj naprzeciw siebie siedzieli ci dwaj przyjaciele. Na polu ściemniało się gwałtownie, a deszcz siekł w okna, dziwnie smutnie o tafle szyb dzwoniąc. Burza gwałtowna nadciągała, grzmoty na chwilę nie ustawały, trzęsąc całym gmachem. Stare lipy przed pałacem zginały się, jakby na rozkaz, najdziwaczniejsze przybierając pozy. Całe masy złamanych gałęzi leżały pod drzewami, dziwnie smutny przedstawiając widok.

Chłopię przysunęło swoje krzesełko bliżej Adama i patrząc mu w czy słuchało. Adam zaś mówił:

„...i nie mógł już naród wytrwać w tej męce upokorzeń i upodlenia, naród, co tysiąc lat miał wspaniałej za sobą przeszłości, a przyszłość mu tak czarno się zapowiadała...

Bo lepiej zginąć, niż żyć w upodleniu...

I przyszłość swą powierzył naród polski ostrzom bagnetów, które młodzieńczą pochwycone ręką w bój poszły święty...

Przyszła noc listopadowa...

Wśród ciemnej nocy ogień i dym słupem ku niebu wybucha... to znak... i walka się zaczyna... Walka nierówna, straszna, ale święta. I trwa ta walka nie rok, nie dwa, ale już przedtem zaczęta legionami, do dzisiaj się ciągnie...

I trwać ona będzie, póki serce polskie bije, krwią tętni, póki nam wolność złotą nie błyśnie zorzą...

Poszli w bój i ci starzy, co Napoleona pamiętali dobrze i młodzi. bardzo młodzi... krwią winy ojców zmywać, przyszłość budować świetlaną...

Polska...

Ten wyraz magiczny był hasłem i odzewem...

Za Polskę, dla Polski... nie było ofiary, nie było męki, którejby naród nie zniósł...“

Za oknami wicher wciąż szalał, grzmoty były coraz straszniejsze, pioruny biły, zachmurzone niebo rozświetlając oślepiającemi błyskawicami. W salonku było prawie ciemno. Stare sprzęty ciemnego koloru jakieś kształty przybierały wysmukłe, na ściany najdziwaczniejsze rzucając cienie. Złocone tylko ramy obrazów, rozwieszonych po ścianach, połyskiwały... Z każdego kąta mówiła tu przeszłość żywym językiem... Z portretów przodkowie patrzyli na jasną główkę swego pra-pra wnuka... Naprzeciw siedzących wisiał portret młodego przystojnego ułana... zginął jako porucznik pod Grochowem...

Adam ciągnął dalej.

„...Porwał się do boju cały naród, cel swego wystąpienia określając jawną detronizacyą cara Mikołaja. Sejm zwołany do Warszawy postanowił uwłaszczyć włościan, darowując im ziemię, na której setki lat pracowali... Nieopisany zapał ogarnął całą Polskę, wszystkie stany — wojsko z niecierpliwością czekało chwili, w której się zetrze z armią tyrana. Nie było jednakże wodza, któryby jedno czuł z narodem... Chłopicki zwlekał, paktował, aż wreszcie, gdy zgasła ostatnia nadzieja pokojowego załatwienia... ruszył w bój...

I odżył w nim żołnierz napoleoński, lew, co z pola walki nie ustępuje, chyba śmiertelnie raniony, zawrzała mu w żyłach polska krew bohaterów...

Grochów... niecałe pięćdziesiąt tysięcy naprzeciw siedmdziesięciu rosyjskich stanęło...

Dybicz, wódz carski zasypał naszych setkami granatów... dwieście pięćdziesiąt dział siało żelazem...

Zaczął się straszny bój...

Olszyna, trzy razy wpadłszy w ręce przeważającej siły Moskali, z bagnetem w ręku została odebraną...“

Uniesiony swem opowiadaniem, przejęty wspomnieniami przeszłości Adam nie wiedział, co się koło niego dzieje, nie widział nic, nie słyszał... myślami był tam... w szeregu walczących z bagnetem w ręku.

Oczy mu jasnym pałały blaskiem, twarz bladą pokryły rumieńce. Pięknym był w tej chwili... biła od niego siła i moc, wiara w przyszłość jasną... on żył...

Nie posłyszał, że drzwi się z sąsiedniego pokoju otworzyły i stanęła w nich księżniczka. Blada była... widocznie burza na jej wrażliwą naturę działała. Stanęła cicho przy drzwiach, wpatrzona w młodego człowieka i słuchała..

On mówił...

...Szły za ojczyznę szereg za szeregiem na pewną, chwalebną śmierć... Zwycięstwo już było pewne... wtem wódz raniony z placu boju się usuwa... zamieszanie... i bitwa zamiast zwycięską, nierozstrzygniętą zostaje...

W tej chwili potworny huk, ciemności rozprasza straszna błyskawica i dwa pioruny, jeden za drugim, uderzyły w aleję lipową.

Księżniczka lekki wydała okrzyk przestrachu.

Adam posłyszał go i skoczył ku niej. Słaniała się napół zemdlona. Cała jej postać czyniła wrażenie jakby się miała bezsilnie osunąć na ziemię.

Adam bez namysłu pochwycił drżące z przestrachu to cudne dziewczę w ramiona i uniósł na fotel. Drżała... Podał jej szklankę wody.

— Dziękuję panu — szepnęła i spojrzeniem swych królewskich oczu spłaciła mu tysiąckrotnie dług wdzięczności.

On czuł dziwną radość na samą myśl, że tej istocie zaziemskiej mógł uczynić jakąś przysługę.

Oczy obojga spotkały się znowu i zatonęły w sobie. To była chwila poznania się dusz bratnich... Długo patrzyli na się, pojąc swe oczy widokiem wzajemnej urody.

Taka chwila daje szczęście, daje ciche zapomnienie.

Ona pierwsza przerwała to kłopotliwe milczenie.

— Przerwałam panu opowiadanie... ładnie pan mówi, bardzo ładnie! Ze wstydem muszę się przyznać, że podsłuchiwałam za drzwiami, ale wiem na pewne, że mi pan tego nie weźmie za złe...

— Nigdy! — zawołał z przejęciem, nie mogąc od jej twarzy pełnej czaru oderwać oczu.

— Wie pan, że słuchałam z ogromną ciekawością pańskiej opowieści, bo tę część historyi tak mało znam... a piękna...

Gdyby pan nie miał nic przeciwko temu, to zostałabym uczenicą pana. Przychodziłabym na pańskie wykłady — rzekła uśmiechając się i patrząc mu w oczy.

Ale jego spojrzenie było tak gorące, że czerwieniąc się, wzrok skierowała ku ziemi. Chcąc ukryć swe zakłopotanie spytała.

— A Zygmuś się zgodzi, żebym się razem z nim przysłuchiwała wykładom pana Drzemirskiego?

— Dobrze, proszę cię bardzo, siostrzyczko — odrzekł chłopczyk i zbliżywszy się do siostry, ucałował ją w usta, a ona go wzięła w swe białe rączki i okrywała całą twarz pocałunkami.

Potem spojrzała na Adama, a on z jednakiem uwielbieniem patrzył na nią.

Była mu wdzięczną. Wiedziała, że jest piękną i wpływ swego czaru odczuwała. Lubiła być kochaną i była pewną, że ten młody marzyciel jest w niej na zabój zakochany. Podobał się jej...

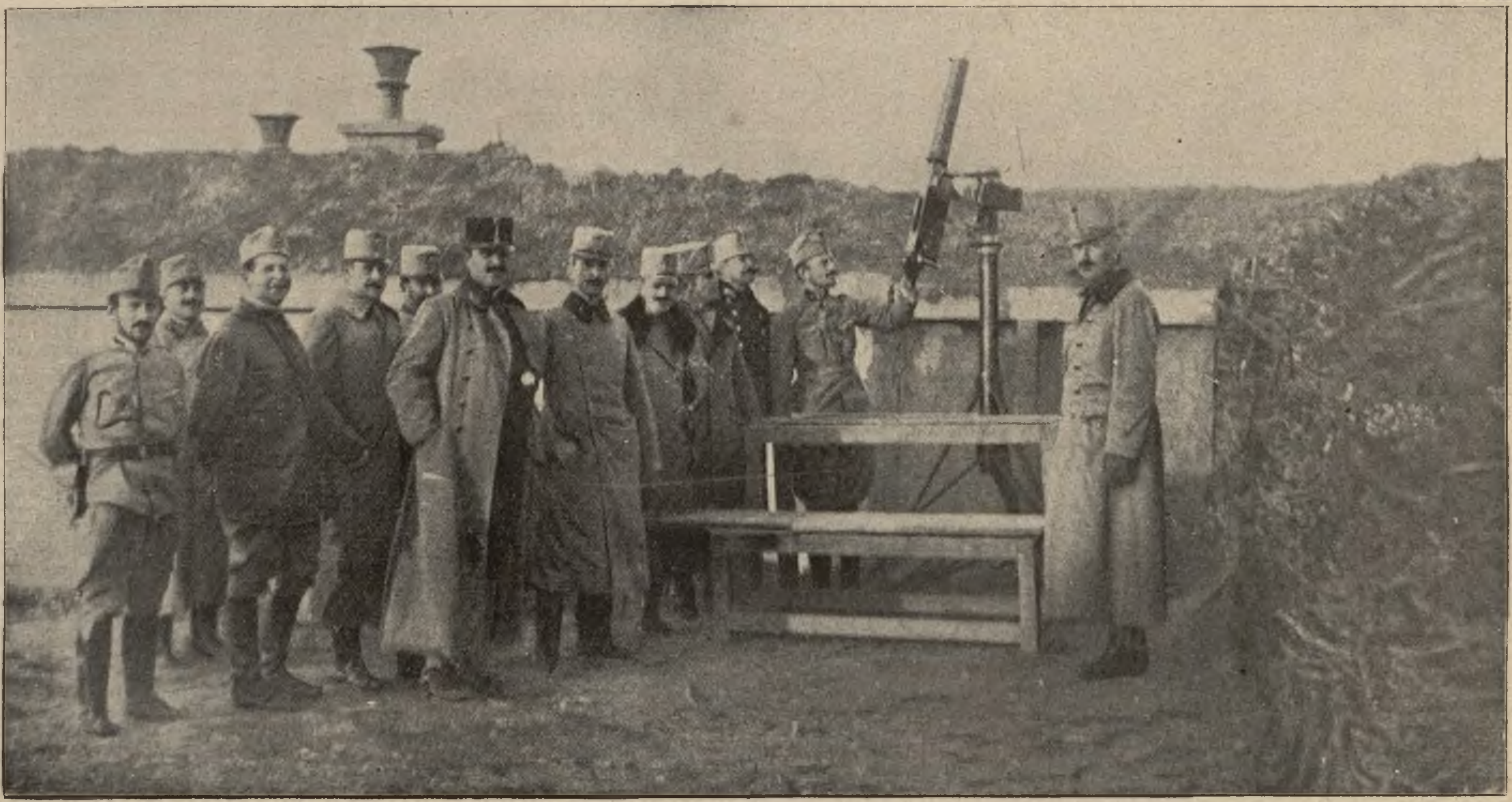
W jego oczach czytała wyraźnie:

„Czemuż nie jestem tym małym Zygmusiem? Czemuż nie mogę mych ust w twych utopić ustach i stopić ich żarem mych pocałunków?“

A jego oczy mówiły dalej:

„Litości! litości okaż okruszynkę, mnie niewolnikowi, bo ja cię kocham, kocham nad życie!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z oblężonego Przemyśla: Armata do ostrzeliwania balonów i aeroplanów, zdobyta przez załogę przemyską na Rosyanach podczas jednej z wycieczek.

Obiad w ogniu granatów.

Straszną jest wojna, ale silniejszemi od niej są potrzeby ludzkie, które tak samo muszą być zaspokajane w ogniu walki, jak i podczas pokoju. Milionowe armie, jeśli mają spełnić swe zadanie, muszą nie tylko posiadać broń i walczyć, ale muszą także... jeść, bo najsilniejsza, najlepiej uzbrojona armia stanie się bezwartościową masą maruderów, jeśli przez czas dłuższy nie otrzyma pożywienia. Wojną rządzi nie tylko mózg, ale i... żołądek. To też zaprowiantowanie armii stanowi jedną z ważniejszych trosk we współczesnej wojnie. Minęły już bowiem czasy, kiedy wojska same się prowiantowały w kraju, w którym prowadziły walkę. Dziś, przy milionowych zastępach żołnierzy i przy zniszczeniu, jakie powoduje współczesna wojna, mowy być o tem nie może. Żywność dla walczącej armii trzeba dowozić z odległych nieraz okolic i to w kraju, gdzie drogi przez ustępującego nieprzyjaciela zostały doszczętnie zniszczone. To też nie ulega wątpliwości, że należyte zaprowiantowanie armii jest w obecnej wojnie jednem z trudniejszych zadań.

Dowóz żywności nie jest jednak tylko trudny, ale także połączony ze wszystkiemi niebezpieczeństwami walki. Dziś, gdy bitwy trwają tygodniami, a wojska miesiącami przebywają w okopach na linii bojowej, dowóz żywności musi się odbywać nawet w czasie najgwałtowniejszego ognia nieprzyjacielskiego. Wśród świstu kul i huku pękających granatów podjeżdżają kuchnie polowe, aby nakarmić walczących. Taki właśnie moment przedstawia nasza illustracya. Widzimy na niej epizod walk około Ypern: niemiecka kuchnia polowa rozwozi na drodze pooranej granatami, wśród gradu kul, pożywienie dla żołnierzy, którzy ukryli się w swych rowach strzeleckich.



Obiad w ogniu granatów: Niemiecka kuchnia polowa rozwozi pod gradam kul pożywienie dla żołnierzy, ukrytych w rowach strzeleckich. W głębi płonący klasztor w okolicy Ypern.

Kronika tygodniowa.

Aczkolwiek nie jestem wcale członkiem Ligi pokojowej, ani męskim, ani żeńskim, ani czynnym, ani też honorowym (u nas i jeden i drugi rodzaj nic nie robi!...), już przecież od samego początku wojny stałem się zdeklarowanym zwolennikiem pokoju i starałem się pilnie notować w kronikach wszelkie objawy, które kazałyby się spodziewać, że wojna rychło się zakończy.

Ogromnie też ucieszyło mnie ogłoszenie byłego komisarza rządowego, profesora Nowaka, który wezwał ludność, by zaczęła zjadać zapasy.

Lecz radość ta niedługo trwała! Ledwie komisarz ustąpił, a prawowity nasz władca, pan Leo, powrócił, pojawiły się i nowe rozkazy. Zabroniono ruszać cośkolwiek z zapasów i kazano czekać, co powinno być oznaką, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Zaczęto się więc aprowizować na gwałt, kupcy wysprzedali cały zapas środków spożywczych, kto zaś nie chciał płacić dość wygórowanych cen, powołując się na taryfę maksymalną, temu radzono po przyjacielsku:

— Chcesz pan jeść, to pan płać, jeśli zaś nie masz pieniędzy, to gryź sobie taryfę maksymalną!...

Ta nowa aprowizacya świadczyła, że tak dobrze nie jest jeszcze, jakby kto może chciał, a dowodem, że rozkaz magistratu znalazł należyty posłuch, są zapiski policyjne, które notują, iż nawet złodzieje zaopatrują się na gwałt w różne zapasy. Czytamy tam, iż jakieś, naturalnie niewyśledzone dotąd, indywidyum włamało się do mieszkania jednego z krakowskich obywateli, dra B., i prócz gotówki, na zaspokojenie codziennych swych potrzeb, zabrało także i kilkanaście słoików konfitur. Nie dziwię mu się wcale, dziś każdy radby osłodzić swą dolę w jakikolwiek bądź sposób!

Co jednak najsmutniejsze, to okoliczność, że z rozporządzenia magistratu nic sobie nie robią myszy i szczury i z apetytem zabierają się do naszych zapasów. Nie mogę sobie tego wytłumaczyć!... Chyba o owem ogłoszeniu nie wiedzą, wątpię bowiem, by były na tyle bezczelne, aby sobie pozwoliły lekceważyć rozkazy władzy.

I u mnie stało się coś podobnego. Czcigodna moja małżonka zauważyła niedawno, iż w worku z mąką zagnieździły się myszy, z wędzonki zaś, która wisiała na strychu, pozostał tylko sznurek... Idąc śladami naszych restauratorów, możnaby go, co najwyżej, użyć do bigosu, który właśnie nazywany bywa przez znawców: „tajemnicą w kapuście“, przez restauratorów zaś „przeglądem tygodniowym“ i służy jako dowód, że nic w naturze nie ginie.

Niewiasta, ot jak zwykle stworzenie, nie mające szerszych poglądów i widząca tylko dziś, a nie oglądająca się na jutro, chciała zastawić łapki, by wyniszczyć ród nieznośnych gryzoniów, ja przecież, po raz pierwszy od wielu lat, pozwoliłem sobie założyć uroczyste veto...

— Kobieto! Ani mi się waż! — wołałem — Czy ty wiesz, co w czasie oblężenia wart szczur i do tego upasiony?... Jeśli nie, to przeczytaj sobie pamiętniki z oblężenia Paryża! Dowiesz się z nich, że jeden taki okaz, i do tego chudy, kosztował wówczas pięć franków!... A jak smakowicie je przyrządzano! Poszukaj w książce Ćwierciakiewiczowej... Musi tam być przepis!

— Co też gadasz! — połowica moja na to — Szczura, choćbym miała z głodu zginąć, do ust nie wezmę!...

— Zobaczymy! Dziś, bez oblężenia, jadamy nieraz kota, zamiast zająca, ciekawym, dlaczegoby, gdy braknie innego mięsa, nie miało się oblizywać palców, spożywszy na przykład nadziewanego szczura z makaronem, lub potrawkę z młodych myszek... Niech więc zjadają sobie spokojnie nasze zapasy, potem, gdy będzie źle, my je skonsumujemy!

— Smacznego! To ty! Ja tam i moje córki umywamy od tego ręce!

— Umyjecie sobie! Umyjecie!... Ale po zjedzeniu!

— Na samo wspomnienie źle mi się robi... Gdyby była pod ręką kanapa, kto wie, czy nie zemdlałabym!

— Mdlej sobie! Ja tam wolę zemdleć z obrzydzenia, niż umrzeć z głodu!

Stanęło jednak na mojem, w całym domu dla myszy i szczurów ogłoszono „czas ochronny“.

Mamy wprawdzie kota, ten jednak czuje wstręt do myszy i nie łapie ich wcale, więc niema obawy, by przerzedził ich szeregi. Początkowo chciałem pozbyć się go z domu, z wyżej jednak przytoczonych powodów został i w rejestrze zapasów na czarną godzinę figuruje pod rubryką: zając.

Skoro już mowa o taryfie maksymalnej, to muszę zaznaczyć, że i ona na coś się przydała!

Ponieważ nafta zdrożała, jak o tem każdy może się łatwo przekonać, zacna moja Weronisia, która jest wzorem oszczędnej gospodyni, nie pozwoli mi wieczorami świecić lampy, wobec czego nie pozostaje nic innego, jak siedzieć bodaj do dziesiątej wieczór w knajpce, gdzie bodaj za światło i opał nic nie liczą.

Mruczało babsko wprawdzie pod nosem, bo to kobiety nigdy niczem nie zadowoli, ostatecznie przecież pogodziła się z losem i nic nie mówi, gdy nawet po dziesiątej w nocy wrócę do domu. Ale zato rozbierać się muszę po ciemku, do czego zresztą w młodszych latach się przyzwyczaiłem i teraz, na starość, mam, jak znalazł!

Także kłopot mamy i mieć będziemy z mąką, nie wolno bowiem używać do pieczenia chleba i bułek czystej mąki żytniej, ani pszenicznej, lecz musi ona być koniecznie zanieczyszczoną. Wprawdzie rozporządzenie mówi o używaniu w tym celu mąki kukurudzianej, jęczmiennej lub ziemniaczanej, u mnie przecież zajęły się tem, jak już wspomniałem, myszy.

Co się mnie osobiście tyczy, wcale z tego powodu nie płaczę i nie narzekam, chleba i bułek nie jadam z polecenia lekarzy, którzy mnie przekonali, iż jest w nich zbyt dużo mąki, a to źle działa na moje organa wewnętrzne.

Trzeba się zaś mieć na baczności i nie chorować, chorowanie bowiem, jest i bardzo niezdrowe i, jak dzisiaj, bardzo kosztowne, tak, że nie każdy może sobie na podobny zbytek pozwolić. W jednej z kronik poruszyłem już swojego czasu kwestyę podrożenia oleju rycynowego, którego cena podskoczyła u producentów z korony i coś halerzy za kilogram na ośm koron. Zachodziła obawa, że wobec tego tak demokratyczny środek dostępnym się stanie tylko dla klas najzamożniejszych, a proletaryat będzie się musiał obejść smakiem i wynaleźć inny, tańszy, celem regulowania wewnętrznych spraw żołądkowych.

Pocieszył mnie jednak pewien zacny aptekarz (oby miał za to lekkie zawsze sumienie i tą przyjemność, jaką daje właśnie olejek), oświadczając, iż tego specyfiku nie braknie, Ameryka bowiem zgłosiła się z gotowością zaopatrzenia nas, o ile tego zajdzie potrzeba.

„Niech więc żywi nie tracą nadziei!“... bo zmarłym już i olejek rycynowy nie pomoże.

Na ogół biorąc, wojna nie tylko mnie wyłazi bokiem i dziurami na łokciach, ale i innym obywatelom, wszelkiej narodowości i wyznania, jak to miałem sposobność przekonać się z rozmowy z jednym z mych dostawców (przyznam się w sekrecie... monety).

Spotkałem go onegdaj koło kościółka św. Wojciecha i rozpocząłem pogawędkę, bo to obywatele kazimierscy, a on akurat stamtąd pochodzi, są ogromnie wrażliwi na wszelkie wahania polityczne i pierwsi wiedzą, co w trawie piszczy...

— I cóż tam, kochany panie, słychać w świecie? — pytam.

Pogładził się po żywocie, pokręcił trybuszony i odparł poważnie:

— Pan myśli pewnie, co słychać o wojnie?

— To się wie!

— Panie! Ja panu powiadam, że całe te wojne to nie jest warte *złamane otomane!*

— Co? Złamanej otomany?... Nie rozumiem tego!

— Jakto, pan nie rozumie?... Mówi się przecież, że coś nie jest warte *złamanego szezlonga*, ja zaś powiedziałem zamiast „szezlonga“ „otomane“, bo ja nie mówię tak bardzo biegle po polsku, gdyż za młodu potrzebowałem chodzycz w Zmigrodzie tylko do hebrejskiej szkoły...

— Aha! Więc nieporozumienie tylko z powodu „fatalnej omyłki druku“, kochany panie!... Już jestem w domu!... A możeby pan tak... coś... tego?... Bo to teraz ciężkie czasy!

— Niestety!... Teraz moratoryum! Nie można nikomu wygodzycz... Jak pana szanuję! Gdybym miał, dałbym, ale ja sam teraz jestem w kłopotach i potrzebuję pieniędzy. Żona wyewakuowała się do Wiednia...

— Toś pan szczęśliwy! A moja stara siedzi w Krakowie, jakby tu przyrosła!...

Jest jednak pewna kategorya ludzi, którzy z wojny są ogromnie zadowoleni. Są to mianowicie dopiero projekty na przyszłych obywateli, to jest nasza młodzież.

Dzięki obróceniu większej liczby szkół na szpitale i powołaniu całej rzeszy światłodawców pod karabin, wakacye tegoroczne, właściwie zaś tamtegoroczne, trwają miesiącami nawet do dnia dzisiejszego ku zmartwieniu rodziców, a radości młodego pokolenia. Można wobec tego cały wolny czas, to jest całe dwadzieścia cztery godziny poświęcić ćwiczeniom ciała, które ,według nowszych pojęć, zasługuje na baczną i troskliwą pielęgnacyę, jako ów widomy futerał, w którym mieści się niewidzialny duch. Że zaś to, co nam podpada pod zmysły, jest każdemu z nas stanowczo bliższem, wobec tego niech się też nikt nie dziwi, że ciało zajęło obecnie pierwsze miejsce, duch zaś spadł na drugie.

Ćwiczy też młodzież swoje ciało, jak tylko i gdzie tylko może, naśladują ją zaś i starzy i ogromnie się z tego cieszą, jeśli uda im się wywrócić przy saneczkowaniu i poobijać sobie boki. Przypominają sobie dawne, lepsze czasy, kiedy to ciało było zdrowsze, duch — rzeźwiejszy, a zawiasy w kolanach nie skrzypiały tak paskudnie przy każdem poruszeniu.

Spotkałem onegdaj jednego z profesorów gimnazyalnych, oblepionego plastrami, a tak zadowolonego, jakby mu kto, nie przymierzając, w kieszeń... wpakował ze sto dukatów (złota zaś, jak wiadomo, obecnie w obiegu nie uświadczysz!...)

— A cóż to kochany profesor taki kontent? — pytam, ile że to człowiek, jako dziennikarz, jest z natury ciekawy. — Może główna wygrana na loteryi klasowej?... Jeśli tak, to gratuluję!

— Skądże znowu! — on mi na to — Ja, panie łaskawy, wywróciłem się w niedzielę podczas saneczkowania na Panieńskich Skałach...

— W takim razie kondolencya!... Że się jednak panu chce narażać się na skręcenie karku!... Trzydziestka minęła, zostawić to młodszym!

— O! nie!... To się po mnie nie pokaże! Ja szukam na torze żony, tak jak wy ongiś szukaliście ich na sali balowej... Ta jednak różnica, że my będziemy mieli żony zdrowe, bo sportowo wykształcone, co musi się też odbić na całem przyszłem pokoleniu!

Ha! — pomyślałem sobie — może ma i racyę. Różne są gusta i guściki, jeden dba więcej o ducha, drugi o ciało, ot, jak mówi przysłowie: „jeden lubi grzebień, drugi zaś woli to, co po grzebieniu chodzi“.

Gdybym się nie bał mojej starej, poszedłbym bodaj raz na tor saneczkowy, gdzie można pono zobaczyć nieraz i coś ładnego, zakazała mi jednak uroczyście, a wiem, że miałbym w domu piekło, gdybym odważył się sprzeciwić jej woli.

Choć z drugiej znów strony jeden z mych przyjaciół, który, jako kawaler, nie potrzebuje się krępować żadnymi zakazami władzy domowej, odradza mi i to nie ze względu na mą żonę, lecz z powodu, iż zawiódłbym się szpetnie, nic bowiem nie zobaczę, gdyż młode pokolenie, używające najbardziej na sporcie saneczkowym, jest przeważnie jasnokościste, a do osteologii nie miałem nigdy pociągu i dlatego właśnie nie poświęciłem się karyerze lekarskiej.

„Grubą Bertę“ rzadko zaś spotkać na saneczkach, częściej zobaczysz raczej inne starsze systemy, ale mniejszego kalibru, nie rozradujesz więc oka pięknym widokiem i okrągłością kształtów.

Ta mania saneczkowania tak ogarnęła społeczeństwo, iż bardzo wygodnie porównać ją można z „szałem tangowym“, notowanym rok temu przez miejski Urząd zdrowia w rubryce nieuleczalnych chorób zakaźnych. Jak słyszałem, podobno któryś z bakteryologów pracuje nad wynalezieniem „antisaneczkowej“ szczepionki.

Kogo nie stać na prawdziwe sanki i wycieczkę, bodaj na Sikornik, ten używa tego sportu bodajby na chodnikach, zwłaszcza w gminach przyłączonych, nie zdając sobie z tego sprawy, iż w ten sposób naraża innych przechodniów, nie odznaczających się taką gibkością członków, co najmniej na pośliźnięcie się i wywrócenie, jeśli nie na kalectwo. Do tych młodych sportowców oby rodziciele ich lub opiekunowie raczyli przemówić! Niech wzruszą ich serca słowami, jeśli one zaś nie wystarczą, można w danym wypadku obrać inną drogę, n. p. via oficyny.

Ponieważ więc młodzież skazaną jest na próżniactwo, nie mając czem zabić czasu, „robi też w polityce“ i bada pilnie wszelkie ruchy wojsk operujących, kombinując na swój sposób i przygotowując już w myśli przyszłe zmiany mapy światowej. Nawet tacy młodzieńcy, którzy mieli niedostateczną notę z geografii, tak z tym przedmiotem się już obeznali, iż na jakim mniejszym uniwersytecie niejeden z nich mógłby się już dziś ubiegać o *veniam legendi* w tym zakresie.

Zagadki do nagrody.

Zadanie królewskie.

Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

		nie	go	dzy	le		
		po	ża	łu	ko		
tu	tra	mi	jesz	ją	dnie	z ko	łan
ją	koń	cze	tak	spa	ma	dy	u
		ce	jen	to	kie		
		na	wo	ład	nie		

Logogryf.

Ułożył R K., Krościenko n. D.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, nazwą prąd, jaki nie tak dawno ogarnął cały świat, głównie zaś Europę

a
a a a
a a a a a
a a a a a a b
g g j k k k ł ł n
n n o ó p r r
s s s t t
w y z
z

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska. 2. Wschodnie imię żeńskie. 3 Inaczej piękność. 4. Ptaki domowe. 5. Szukany wyraz 6. Gra hazardowa 7. Miejscowość koło Lwowa 8 Tytuł tatarski. 9. Samogłoska.

Zagadki.

Ułożył X Y., Oświęcim.

1) Myśleć nie potrzeba chyba,
Co wspak rzeka, a wprost ryba.

2) Wprost czytając, czarny ptaszek,
Wspak ja wolę go już z flaszek.

Logogryf.

Ułożył X. Y., Oświęcim.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko założyciela słynnej biblioteki.

☐ — —
— ☐ —
— — ☐
— ☐ —
☐ — —
— ☐ —
— — ☐
— ☐ —
☐ — —
— ☐ —

Znaczenie wyrazów: 1. Część ciała. 2 Owad. 3. Część ciała. 4 Przyprawa rożnych potraw. 5 Przeznaczenie. 6. Przeczenie. 7. Zwierzę domowe. 8 Figury w kartach. 9 Ptak śpiewający 10 Ryba.

Łamigłówka.

Ułożył Józef Tabor z Bochni.

Uzupełnić podane wyrazy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nam nowy zwrot w toczącej się obecnie wojnie światowej

—aga
— ron
— eon
— ora
— gor
— oga
— zor
— uba
— mor
— pór
— awa
— rka
— ero
— ran
— mir.

Zagadka literacka.

Ułożył X. Y., Oświęcim.

Dany jest początek powieści znanego poety i prozaika polskiego. Ze słów, wydrukowanych kursywą, należy wyjąć po jednej literze i utworzyć z nich nazwisko autora. Należy także odgadnąć jej tytuł.

„Wieże *Kaługi* zdaleka, pod *chmur* zimowych *nawałą*, coraz *szarzeją*, bo *wieczór* się zbliża. Ale dosyć *dnia jeszcze*, by oświecić te *wzgórki*, *śniegiem* obciążone"..

Krata magiczna.

Ułożył X. Y., Oświęcim.

Litery w ten sposób poprzestawiać, by utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a
a a b c e g g
h h i
i k k ł ł m m
m m n
n r r s s u u
u w w

Znaczenie wyrazów: 1 Miasto w Królestwie Polskiem. 2. Miasto w Niemczech. 3. Miasto nad Morzem Czarnem.

Depesza.

Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Z liter na depeszy ułożyć znane polskie przysłowie:

Janie! Pisz o Korabie!
Br. Opa.

Rebus.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *St. Ossorya-Brochockiego:* **Rzeczy wesołe i smutniejsze.**

Sprostowanie.

Do artykułu, umieszczonego w Nr. 5 „Nowości Illustrowanych" z dnia 30 stycznia 1915 r. pod nagłówkiem „Zmiany w kierownictwie Krakowskiej Gazowni miejskiej", zakradły się błędy drukarskie, które niniejszem prostujemy:

1 godz. światła gaz. o sile 100 świec kosztuje nie 21·5 hal. tylko $2\frac{1}{5}$ hal. czyli 2·20 hal.
1 godz. światła gaz. o sile 50 świec kosztuje nie 11·4 hal. tylko $1\frac{1}{4}$ hal. czyli 1·25 hal.
1 godz. światła gaz. o sile 30 świec kosztuje nie 3·4 hal. tylko $\frac{3}{4}$ hal. czyli 0·75 hal.

Umieszczając niniejsze wyjaśnienie nie wątpimy, że Szanowni Czytelnicy powyższe błędy drukarskie już poprzednio sami sobie sprostowali.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 4.

Łamigłówka:

San
Ito
Ewa
era
ara
ona
Ali
pan
oko
Iza
Una
iwa
aga
kra
koc
mir
Eli
Opa
kto
akt
ona
aja
gan.

Zadanie królewskie:

...Wędruje ścieżką, czy też pól przełajem,
Górą, czy dołem, lądem, czy morzami,
Aby wiedziała, że nie tam, gdzie stajem,
Ma być spoczynek, lecz tam, gdzie znakami
Kreślony postój...

Gwiazda magiczna:

t
s o a a R
w r b
o l g a n n a
r k m
g ó r a d
o

Zadanie do przestawienia: Obiecanka, cacanka, a glupiemu radość

Trójkąt magiczny:

H i e r o n i m
I z a j a s z
E u r o p a
R o w e r
O p a l
N o s
I f
M

Depesza: Nie graj Wojtek, nie przegrasz portek.

Zadanie do przestawienia: Gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść!

Bilety wizytowe: Tancerka klasyczna. Marszałek. Piernikarz. Biskup. Piekarz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, L. Opolski Wadowice, S. Karczmarski Poddębie, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnów, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Tarnów, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **R. Topolnicki, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Pamiętajmy o wdowach i sierotach po poległych bojownikach. Wojna, którą obecnie przeżywają ludy Monarchii, pozostawi na długo niezabliźnione rany i źródło trosk znaczenia ogólno-społecznego. Z pośród wielu zagadnień, które już w obecnej chwili powinny być roztrząsane, by zawczasu przygotować środki zaradcze, największą troskę stanowić powinno zabezpieczenie bytu wdowom i sierotom po poległych wojownikach. Rząd czyni już dziś i w przyszłości uczyni wszystko, co w jego mocy, by ulżyć doli tych nieszczęśliwych istot. Jasnem jest atoli, że sam rząd wszystkiego zdziałać nie może, a stąd konieczną jest rzeczą, by odnośne usiłowania rządu, poparł cały ogół. Wdowom i sierotom tych, którzy legli w obronie słusznej sprawy całego ogółu ludności monarchii, należy się, by o losie ich pomyślał cały ten ogół i w miarę swej możności pospieszył z pomocą. Gdzie chodzi o to, aby każdy, choćby najbiedniejszy, mógł wziąć udział w składce, muszą być obrane najodpowiedniejsze drogi do tej składki.

Niema może nikogo wśród ludów monarchii, ktoby bodaj od czasu do czasu nie wymienił korespondencyi z osobami, pozostającemi z nim w pokrewieństwie lub w stosunku przyjaźni albo w interesie. Na wielkie datki nie wszyscy zdobyć się mogą. Dwa grosze da każdy chętnie, byle mu to umożliwić. Ministerstwo handlu wydało nowe wojenne znaczki pocztowe w cenie po 7 i 12 hal. tudzież wznowiło wydawnictwo jubileuszowych kartek korespondencyjnych (tak chętnie przyjętych przez publiczność w 1908 r.) po 15 hal., z których czysty dochód po odliczeniu kosztów nakładu i frankatury w zupełności przeznaczyło na dochód funduszu wsparć po poległych. Tą drogą można także wiele zdziałać, a wobec tak humanitarnego celu nie trzeba tracić wiele słów na zachętę do zakupna właśnie tych znaczków przed wszystkimi innymi. Wszak chodzi tu o los biednych, pozbawionych opiekuna i żywiciela, sierot i niewinnych rodzin tych, którzy broniąc waszego spokoju, waszych słusznych interesów, własną piersią, krwią swą serdeczną tamowali drogę najeźdźcy. Takiemu wołaniu nie powinno się oprzeć żadne litościwe serce. Ofiara nie wielka — 2 hal! Dawajmy ją wszyscy, jak najwięcej możemy, by duchom poległych bohaterów zapewnić spokojny sen wieczny.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.